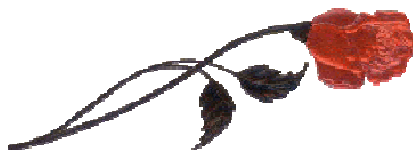


# Myrna Mackenzie Wspólna tęsknota

Tytuł oryginału: Their Little Cowgirl

Jak w bajce.....01



## BAJKA O BRZYDKIM KACZĄTKU

Kiedy wysiadująca pisklęta mama kaczka spostrzegła, że szóste jajko jest większe od reszty, domyśliła się, że jedno z jej dzieci będzie inne niż pozostałe. Nie pomyliła się, bo kiedy za jakiś czas pisklęta się wykluły, jedno okazało się duże i brzydkie.

Inne kaczątka szczypały je i szturchały, aż w końcu prześladowane biedactwo uciekło znad stawu. Wciąż jednak tęskniło za wodą i swoim prawdziwym domem. Nadeszła jesień i brzydkie kaczątko ruszyło w świat.

Któregoś dnia w powietrzu rozległ się szum skrzydeł. To chmara cudnych wielkich ptaków szybowała nad ziemią. Były białe jak śnieg i miały smukłe, giętkie szyje. Zniknęły w oddali, a kaczątko marzyło, by pofrunąć wraz z nimi, choć wiedziało, że te piękne ptaki na pewno by go nie chciały.

Minęła długa, sroga zima, podczas której kaczątko wiele wycierpiało. Potem znowu zaświeciło słońce i na niebie pojawiły się wielkie białe ptaki. Kaczątko bardzo chciało do nich dołączyć. Choć było pewne, że je odgonią, rozwinęło jednak skrzydła i wzbiło się w powietrze.

Ku jego zdumieniu królewskie ptaki przyjęły je serdecznie! A gdy popatrzyło na swoje odbicie w lustrze wody, zamiast brzydkiego kaczątka ujrzało pięknego białego łabędzia.

## PROLOG

Merry Montrose, która w innej rzeczywistości była księżniczką Meredith Bessart z Silestii, pomasaowała się po bolącym krzyżu. Od jakiegoś czasu kierowała ośrodkiem wypoczynkowym La Torchere znajdującym się na wyspie w południowo zachodniej części Florydy. O tej porze roku, na początku maja, tonąca w zieleni wysepka była prawdziwym rajem. Niejeden uznałby się za szczęściarza, gdyby mógł choć trochę tu pobyc. Merry zdawała sobie z tego sprawę, jednak jej nastrój daleki był od szczęścia. Czuła się znużona i coraz bardziej niespokojna. Zmarszczyła czoło i chmurnie spojrzała na Lissę Bessart Piers, szefową recepcji.

- Skoro koniecznie musiałaś rzucić na mnie klątwę, czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego zrobiłaś ze mnie staruchę? Już zaczynam się sypać!

Lissa uśmiechnęła się lekko.

- Jestem twoją matką chrzestną i mam obowiązek sprawdzić, czy będziesz dobrą księżniczką dla swoich poddanych, czy nadajesz się do tej roli. Sama wiesz, że ta klątwa nie była bez przyczyny, podobnie jak wiesz, że teraz wszystko za leży od ciebie.

Merry skrzywiła się.

- Przecież nie zrobiłam nic złego. Czym sobie zasłużyłam, by wygłądać i czuć się jak staruszka? - Gdy Lissa nie

odpowiedziała, Merry mruknęła: - No dobrze, niech ci będzie. Książę Alec poczuł się urażony. O to chodzi, tak? Był twoim narzeczonym, a ty zachowałeś się wobec niego okropnie. Zresztą jest jeszcze coś.

Aha, masz na myśli ten drobny incydent, gdy chciałam zapobiec małżeństwu taty. Przecież to bagatelka.

Bagatelka? Mylisz się. Twój ojciec jest królem.

Ona była od niego starsza.

To on ją sobie wybrał, więc nic ci do tego, lecz mimo to próbowałaś zmusić ich, by zerwali z sobą, a gdy się nie udało, chciałaś przeszkodzić w ślubie. Przeszłaś samą siebie. Nie tak zachowują się księżniczki.

Wcale tego nie żałuję.

Choć z każdym dniem robisz się coraz bardziej siwa i pomarszczona?

Merry dotknęła pooranej bruzdami twarzy.

No dobrze, trochę żałuję. Tylko że... - Zakryła dłońmi twarz.  
- Naprawdę nie wiem, czy mi się uda. Czasu jest coraz mniej. Jeśli nie...

To już na zawsze będziesz staruchą, a Silestia i twoja rodzina staną się dla ciebie przeszłością.

Nie rozumiesz, że to dla mnie zbyt wielkie wyzwanie? Jak mam tego dokonać? Wyswatać dwadzieścia jeden par? Sprawić, by się pokochali i pobrali? To prawie niemożliwe. Zostało ci jeszcze tylko pięć par.

Ale mam na to niecały rok!

A ile czasu zmarnowałaś? Rzucając klątwę, dałam ci siedem lat. Miałaś się z tym uporać do trzydziestych urodzin, lecz przez pierwszych kilka lat nawet nie kiwnęłaś palcem.

Wiem - niechętnie przyznała Merry. - Na początku nie miałam pojęcia, że to takie trudne. Przez cztery lata

ponosiłam same porażki, no, prawie. Potem się nieco ruszyło, lecz i ja stałam się większą realistką. Jeden rok to za mało, by pięć par doprowadzić do ołtarza. Nie możesz...? - Urwała.

Tak, słucham?

Dać mi więcej czasu?

Lissa ze smutkiem pokręciła głową.

Księżniczka nie powinna o to prosić.

Czyli nie mam szans.

Z pewnością, jeśli będziesz tylko gadać.

Merry westchnęła. Spojrzała na swoje, jeszcze nie tak dawno młode i piękne ciało, teraz zgarbione i postarzałe. Nawet ciepły klimat tej rajskiej wyspy nie łagodził coraz dokuczliwszych bólów i dolegliwości. Czy już tak będzie zawsze, czy nigdy nie powróci do swego cudownego życia?

- Dobrze, zacznę działać. Rozważnie, krok po kroku.

Nie będę się rozdrabniać, skoncentruję się na jednej parze.

Kogo więc spodziewamy się w najbliższym czasie? - Usiadła przy komputerze, zaczęła oglądać listę spodziewanych gości, po chwili jęknęła zawiedziona.

Lissa zerknęła na monitor.

- No tak, jakoś nie widać nikogo odpowiedniego. Może za tydzień zjawi się ktoś bardziej obiecujący?

Każdy kolejny tydzień oddalał nadzieję na odzyskanie młodości, urody i królewskiego życia.

Nie będę czekać. Skoro w tej grupie nie ma dobrych kandydatów, to mam tylko jedno wyjście. Wezmę dwie osoby, choćby takie, które mają zerowe szanse, by na siebie spojrzeć, i użyję moich czarów.

Ich moc jest ograniczona, przecież wiesz o tym.

Wiem... Nieraz boleśnie się o tym przekonałam. - Zebrała się w sobie, zuchwale spojrzała na Lisę. - Ale jestem bardzo zdesperowana i musi mi się udać! Nawet jeśli ci ludzie kompletnie nie będą do siebie pasować, spróbuję to zmienić. - Przesunęła palcem po liście gości. - Ten. I ta. Ona już tu jest, znamy się, co powinno ułatwić sprawę. Poza tym widzę, że ich coś łączy.

Owszem, lecz to nie rokuje dobrze. Są po dwóch stronach barykady.

Meny gniewnie popatrzyła na Lisę.

- Wyznaczyłaś mi zadanie, a ja próbuję je wykonać. Zrobię, co w mojej mocy, nawet jeśli chcesz, by mi się nie udało. Teraz przepraszam cię, ale mam sporo pracy. Muszę na brać sił, bo czeka mnie trudne wyzwanie. Wyswatam ich czy tego chcą, czy nie. - Odeszła.

Lissa z uśmiechem odprowadziła ją wzrokiem.

- Skarbie, chcę, by ci się powiodło, i mam nadzieję, że dopniesz swego. Choć masz rację, zadanie nie jest łatwe, a ty jeszcze je sobie utrudniłaś, wybierając taką parę. Nie docenią twoich wysiłków. Po raz pierwszy zaczynam wątpić, czy ci się powiedzie.

Westchnęła i wróciła do swoich zajęć.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

A niech to! - mruknęła Jacqueline Hammond, rozglądając się po swoim tymczasowym biurze. Co z tego, że jest na tej zielonej wyspie, skoro interesy idą zupełnie nie tak, jak by sobie tego życzyła. W dodatku Parris, jej przyrodniej siostry i współpracownicy, ani widu, ani słychu. - Nie wiem, czy nam się uda - mówiła cicho dalej do siebie - a jeśli się nie uda, to plajta murowana, i to jeszcze nim biznes w ogóle zacznie się kręcić. - Oczami wyobraźni zobaczyła minę ojca, usłyszała, jak mówi, że jego córki nic nie potrafią i są do niczego. Zawsze święcie w to wierzył i nigdy tego nie ukrywał. Ich klęska będzie jego triumfem. Dzisiejszy poranek też źle rokował. - Cóż, przynajmniej już gorzej .być nie może... - Rozdzwonił się telefon, Jackie sięgnęła po słuchawkę. - Hammond Events - powiedziała spokojnym tonem, dziwiąc się, że zdołała tak się opanować. Szykowała się na złe wieści.

Jackie? - W słuchawce usłyszała głos Merry, kierowniczkii ośrodka.

Tak, słucham.

Jestem w głównej recepcji i mam tu kogoś, kto chciałby się z tobą spotkać. Kogoś... bardzo interesującego. Chciałam tylko uprzedzić, że zaraz się zjawimy.

Hm, pewnie kolejna osobistość zgłasza się po odbiór

rodzinnej pamiątki ofiarowanej wcześniej na aukcję zorganizowaną przez Hammond Events. Co się z tymi ludźmi dzieje? Czy na tym świecie już zmarły wielkoduszność i bezinteresowność?

-Dziękuję, pani Montrose - odparła, starając się ukryć znużenie i frustrację. Im bliżej aukcji, tym trudniej zdobyć się na uśmiech.

Rozejrzała się po zastawionym darami pokoju. Ciekawe, co chce wyszarpnąć ten człowiek? Zaczynała się poważnie zastanawiać, jak wielu z darczyńców znało Victorię Catherine Smith, która zleciła przeprowadzenie tej aukcji. Wyglądała na osobę zamożną, wręcz obnosiła się ze swoimi pieniędzmi, lecz wszystko wskazywało, że nie miała prawdziwych przyjaciół, skoro aż tylu wycofało dary. Przez chwilę żałowała, że przyjęły z Parris to zlecenie, ale przecież nie mogły pozwolić sobie na odrzucenie takiej propozycji. Ta firma była wszystkim, co Jackie miała, w dodatku na spółkę z przyrodnią siostrą, z którą dotąd niemal nie utrzymywała kontaktów. Jeśli aukcja się nie powiedzie, oznacza to koniec biznesowych marzeń.

Nic im nie szło, a zapowiadało się, że będzie jeszcze gorzej. Za chwilę zjawi się następny nieznamy. Może to właściciel płótna Pollocka. Oby nie. Liczyła, że ta praca przyciągnie wielu chętnych. Chmurnie popatrzyła na obraz.

-Dla mnie wcale nie wygląda źle, wręcz przeciwnie - odezwał się męski głos.

Jackie odwróciła się. Przed sobą miała wysokiego, barczystego bruneta. W opalonej twarzy wybijały się ciemne, niemal czarne oczy o nieodgadnionym wyrazie. Przyglądał się jej z uwagą. Poczowała się trochę nieswojo.



Zmusiła się do uśmiechu.

Czy ten obraz należy do pana? Zamrugał. Czyli to nie jest jego własność.

Wisi u pani na ścianie.

Owszem, ale to praca przyniesiona na aukcję, którą... zresztą nieważne. Czym mogę panu służyć, panie...

Rollins. Steven Rollins.

Miał głęboki, zmysłowy głos. Przytłaczał ją w tym niewielkim pomieszczeniu, wręcz sprawiał wrażenie, jakby to on był tutaj u siebie, a ona ledwie gościem.

Zirytowało ją to. Przez całe życie musiała się wszystkim dzielić. Wszystkim, co było dla niej ważne.

Zmarszczyła brwi, lecz szybko się opamiętała. Zachowuje się dziecinnie. Jest w pracy, musi być miła dla klienta.

- Czym mogę panu służyć, panie Rollins? Chodzi o coś związanego z aukcją, czy może ma pan jakieś zlecenie dla naszej firmy?

Wbił w nią te czarne, przewiercające oczy, jakby przenikał ją na wylot.

- Niczego nie chcę od pani kupować, pani Hammond, a tym bardziej nie zamierzam sprzedawać czegoś, co należy do mnie.

Te ostatnie słowa wypowiedział z dziwnym naciskiem. Zamrugała.

- Może w takim razie powie mi pan, czego pan ode mnie oczekuje, panie Rollins.

- Owszem, ale byłoby lepiej, gdyby pani najpierw usiadła.

Ku zdumieniu Jackie podszedł do biurka i wysunął

jej fotel. Skinał głową, a ona usiadła jak grzeczny piesek.

Chciała odwrócić się w jego stronę, lecz oparł się obok niej o biurko i przybrał swobodną pozę.

Czuła jednak, że to tylko pozory. Wstrzymała dech. Zawsze była cichą i wyważoną osobą, starała się trzymać na uboczu. Wiele ją kosztowało, by zachować zimną krew, podczas gdy w środku cała się trzęsała ze zdenerwowania. Z czasem nabrała wprawy i nauczyła się ukrywać emocje, jednak ten człowiek wytrącił ją z równowagi. Było coś jeszcze: nie wiadomo dlaczego, lecz nagle stała się całkowicie świadoma swej kobiecości, co w stosunkach z klientami było absolutnie niewłaściwe.

- Czego pan się po mnie spodziewa, panie Rollins?

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Pani Hammond, mówię to z żalem, lecz mamy poważny problem. Nie chodzi o płótno czy aukcję. Rzecz w tym, że właśnie się dowiedziałem, że pani jest matką mojego dziecka.

Jackie zrobiła oczy wielkie jak spodki. Nie mogła oddychać. Przyłożyła rękę do szyi.

- Słucham? - wyszeptwała po długiej chwili.

Rollins pomasaował się po karku.

- Pewnie nie powinienem mówić tego tak prosto z mostu, tylko dozwolę informację, ale... czy kiedyś nie pobrano od pani komórek jajowych?

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Z całej siły zaciskała palce na poręczach fotela, jakby szukając oparcia.

- Tak, ale dla mojej kuzynki - wydusiła ledwie słyszalnym głosem. Trish urodziła córeczkę, Chloe miała teraz cztery latka. To było jedyne dziecko, o jakim dotąd wiedziała. -

Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że pan i Trish... Nigdy w to nie uwierzę, bez względu na to, jak bardzo jest pan przystojny. Ona świata nie widzi poza swoim mężem.

Lekko uniósł brew, słysząc tę pochlebną opinię na swój temat.

- Nigdy nie miałem okazji poznać tej pani. Dziewczynkę wydała na świat moja świętej pamięci żona.

Poczuła, że robi się jej niedobrze.

Nie rozumiem.

No to jesteśmy w tej samej sytuacji, pani Hammond.

Musiała zająć jakąś pomyłką.

Niestety tak właśnie się stało. Pani komórki jajowe bez pani zgody zostały wszczepione mojej żonie. Bardzo mi z tego powodu przykro.

Dziecko. Kolejne dziecko z jej DNA, maleństwo, które nigdy nie będzie jej. Chloe to co innego, zgodziła się na taki układ, ale to...

Podniosła gwałtownie brodę. Włosy zafalowały jej na ramionach. Wlepiała wzrok w Rollinsa.

Dlaczego miałabym panu uwierzyć?

Dlaczego miałbym panią okłamywać?

Nie wiem, ale... może są jakieś powody, których na razie nie rozumiem.

Zapewniam panią, że to prawda, choć bardzo bym chciał, by było inaczej. Oczywiście mam dowody. - Sięgnął do kieszeni granatowej sportowej marynarki.

Widziała mięśnie grające pod białą koszulą i zaraz aż pobladła. W takiej chwili zauważa takie rzeczy? Przeniosła wzrok na papiery.

Co to takiego? - wyszeptwała.

Te dokumenty stwierdzają fakt wszczepienia komórek jajowych mojej żonie. Jest nazwisko dawczyni.

Drżącymi rękami wzięła papiery, przebiegła je wzrokiem.

- Jak to mogło się stać...? .

- Też wiele razy pytałem o to sam siebie, lecz nie znalazłem odpowiedzi.

Jackie ukradkiem zerknęła na mroczną twarz Rollinsa.

-Postąpił pan... wspaniałomyślnie, ujawniając mi tę prawdę. Nie musiał pan tego robić. Inaczej nigdy bym się nie dowiedziała.

Może tak, może nie...

Nie rozumiem.

Przyszedłem z tym do pani wcale nie z altruistycznych powodów. Suzy nie jest zabłąkanym szczeniakiem, którego chcę oddać w dobre ręce. Proszę mi wierzyć, byłbym szczęśliwy, gdyby pani o niczym nie wiedziała. Jednak są ludzie, którzy znają prawdę, a już na pewno kilka osób w szpitalu. Niestety takie informacje często wyciekają.

-I tylko dlatego pan się tu zjawił?

-Tak.

Widziała, że to wyznanie nie przyszło mu łatwo. Jego ciemne oczy przenikały ją do głębi. Miał mocno zarysowaną szczękę, napiętą skórę. Wyglądał bardzo męsko. Kobiety wariują za takimi. Ale ona do nich nie należy, choć pod tym jego badawczym spojrzeniem czuła się dziwnie. Serce też było jej szybciej, za szybko.

Czego więc pan ode mnie chce, panie Rollins? - zapytała z wymuszonym spokojem, choć domyślała się, że zdradzają ją zaciśnięte na poręczach fotela dłonie.

Chciałbym, by podpisała pani oświadczenie o zrzeczeniu się praw do mojej córki - rzekł głosem niedopuszczającym sprzeciwu. - Chcę mieć pani słowo, że nigdy jej pani nie zobaczy i nie będzie pani próbowała się z nią skontaktować. W zamian dostanie pani ode mnie oficjalne zobowiązanie, że na zawsze usunę się w cień. Po to tu

przyjechałem. O to panią proszę. To jak, czy dojdziemy do porozumienia?

Nigdy nie należała do tych, co mają odmienne zdanie i za-  
wzięcie go bronią. Przez całe lata wychodziła ze skóry, by  
przygodobać się ojcu, ale choć dla niego była gotowa na  
wszystko, nawet jej nie zauważał. Zawsze czuła się odtrącona  
i samotna, nikt jej nie chciał, niczego w gruncie rzeczy nie  
miała. Pomogła Trish spełnić marzenie o macierzyństwie i  
szczerze cieszyła się z tego. Choć trudno było pogodzić się ze  
świadomością, że Chloe jest jej dzieckiem tylko w sensie  
biologicznym, nie żałowała tej decyzji. Głęboko ją przemy-  
ślała, oswoiła się z nią, umiała z tym żyć. Oczywiście wahała  
się, lecz przeważyło współczucie dla kuzynki, która tak bar-  
dzo cierpiała z powodu swej bezpłodności. Zarazem to wy-  
darzenie okazało się ważne dla psychiki Jackie. Sama podjęła  
tę decyzję, sama z sobą wiodła długie dyskusje. Trish popro-  
siła ją i czekała, co postanowi. I Jackie postanowiła. Lecz  
teraz znów wracało stare. Rollins stawiał ją pod ścianą, oczę-  
kiwał, że potulnie na wszystko się zgodzi.

A gdzieś tam żyło sobie malutkie dziecko, które w połowie  
było z jej krwi. Dziecko, którego miała nigdy nie zobaczyć.  
Wlepiła wzrok w Rollinsa.

- Uważa pan, że ma pan do tego prawo?

Zesztywniał, potem umknął wzrokiem, wreszcie stwierdził  
twardo:

Mam takie prawo. Suzy jest moją córką. Pani nawet nie wie-  
działa o jej istnieniu. Nie musiałem tutaj przychodzić.

Jednak wtedy przez cały czas żyłby pan ze świadomością, że  
prawda w każdej chwili może wyjść na jaw. Przygnał tu pana  
strach.

-Tak. - Z pewnością to wyznanie nie przyszło mu łatwo.

- Suzy jest moją córką - powtórzył z determinacją, którą daje tylko wielka miłość.

Ile ma?

Słucham?

Ile ma teraz... Suzy?

Zawahał się, jakby żądała od niego zbyt wiele.

-Roczek.

Roczek. Takie maleństwo... - Dziewczynka z uśmiechniętą buzią, delikatną skórą, o słodkim zapachu, obdarzająca swych opiekunów bezwarunkową miłością i akceptacją, uroczą i niewinna. Kruszyna, której nie byłoby na świecie, gdyby nie ta maleńka jej część. Jackie ogarnęła taka tęsknota, że na mgnienie niemal zamknęła oczy.

Podpisze pani?

Zdecydowany głos Rollinsa wyrwał ją z rozmarzenia. Popatrzyła na niego. Miała wrażenie, że w jego oczach zobaczyła bolesny lęk.

Od roku był ojcem tego maleństwa, Suzy była jego i tylko jego. Nie pozwoli jej zobaczyć dziewczynki, mała nigdy nie pozna biologicznej matki. Tak musi być.

Przepelił ją ból. Wiedziała, że musi podpisać ten dokument.

I zrobi to.

Z daleka pan przyjechał? Gdzie pan mieszka?

Nie wydaje mi się, żeby to miało jakiś związek.

Proszę. - Jej głos zabrzmiał błagalnie. Była zła na siebie, że zdradza swą słabość. Tak długo uczyła się ukrywać uczucia.

Jednak Rollinsa musiał poruszyć ten ton, bo odezwał się zmienionym, łagodniejszym głosem:

-Mieszkam na ranczu, w pobliżu Claxton.

To niedaleko stąd.

Owszem. Zakiełkowała w niej nadzieja.

-Rozumiem, dlaczego prosi mnie pan o podpisanie tego dokumentu. Na pana miejscu postąpiłabym tak samo. - Jak dzielić się kimś, kogo się kocha? - Przecież jestem obcą osobą, a o Suzy dowiedziałam się dopiero dzisiaj.

Rozluźnił się nieco, na jego twarzy pojawił się blady uśmiech. Z wrażenia aż zaparło jej dech, bo teraz Rollins wyglądał po prostu fantastycznie. Z pewnością jego żona była piękną kobietą.

-Dziękuję, pani Hammond. Czyli podpisze to pani? - Wyciągnął rękę na zgodę.

- Tak, ale pod pewnym warunkiem.

Jego ręka znieruchomiała.

Co to za warunek?

Chcę ją zobaczyć.

Zobaczyć? Jak mam to rozumieć?

Jego ton nie wróżył niczego dobrego. W innej sytuacji z pewnością by się przeraziła, lecz teraz było inaczej. Nie bała się Rollinsa. Może dlatego, że naprawdę zależało mu na córce.

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Zareagowała spontanicznie, nie myśląc, co będzie dalej. Zrezygnowała już z jednego dziecka i okazało się to znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Strasznie to przeżywała, choć zarazem świadomość, że decyzję podjęła sama i po głębokim namyśle, pozwalała z tym żyć. Lecz ból i tęsknota nigdy nie miały jej opuścić. A teraz szczęśliwy los sprawił, że zyskała drugą szansę.

Nie mogła jej zmarnować. Za nic.

Tak jak powiedziałam. Stwierdził pan, że Suzy została poczęta z mojej komórki jajowej. W połowie jest ze mnie. Czy mogę odnieść się do tego obojętnie? Nie proszę o to, bym mogła być z nią na zawsze. Wiem, że to niemożliwe, ale... Nie mogę podpisać tego zrzeczenia i nawet na nią nie zerknąć. Chcę ją tylko zobaczyć.

To niemożliwe. To w ogóle nie wchodzi w grę.

Tyle razy słyszała te słowa! I jakże często po prostu potulnie spuszczała głowę.

Jednak tym razem chodzi o dziecko.

-Owszem, możliwe, panie Rollins.

Mierzył ją uważnym, powolnym spojrzeniem, taksując od stóp do głów, jakby szukał w niej jakiejś wady. Zmieszała się. Poczula się obnażona, wystawiona na ocenę. Patrzył na nią tak, jak mężczyzna patrzy na kobietę. Miała tego. świadomość i bezwiednie reagowała. Chciał ją pognębić, stłamsić psychicznie. Z trudem się pozbierała.

-Rozważymy pani żądania - powiedział wreszcie. - Porozmawiamy jutro.

Oczywiście skonsultuje się z prawnikiem. I znów zacznie ją taksować. Obawiała się tego spojrzenia. Nie chciała o tym myśleć. Za bardzo to ją poruszało.

- A więc do jutra, panie Rollins. Otrzyma pan moje warunki.

Na piśmie. - Na jej słowa skinął głową, a w jego oczach coś błysnęło. Zdażyła to pochwycić, nim zdażył się odwrócić.

Strach? - Panie Rollins?

Odwrócił się na pięcie.

- Domyślam się, że tylko spora suma przekona panią do rezygnacji - rzucił z ironią.

Jackie powoli pokręciła głową.



-Nie interesują mnie pieniądze i dobrze będzie, jeśli pan to zapamięta raz na zawsze. Niech pan również przyjmie do wiadomości, że nie chcę niczego komplikować. Po prostu nie mogę tego tak zostawić. Przecież chodzi o dziecko. Malutkie dziecko.

-Wiem. - W jego głosie pobrzmiwały skrywane emocje. Teraz to do niej dotarło: Rollins starał się nie pokazać, jak bardzo zależy mu na Suzy. Taką przyjął taktykę: wszystko ukryć w sobie, jak najczęściej zyskać od drugiej strony. Pełna determinacja i przemyślany, podstępny i bezwzględny sposób działania, jak na prawdziwej wojnie. To ją poruszyło, a także uzmysłowiło, jak bardzo ten człowiek jest dla niej niebezpieczny.

Najlepiej by było, gdyby już nigdy więcej się nie widzieli.

-To do zobaczenia jutro - powiedziała.

## ROZDZIAŁ DRUGI

-A niech ją! - prychnął Steven, ściągając kowbojki i rzucając je na podłogę hotelowego pokoju. O co jej tak naprawdę chodzi? Dlaczego tak się upiera przy swoim, skoro do dziś nie miała pojęcia o istnieniu Suzy? I jak to się dzieje, że jest taka... taka... - Fascynująca - mruknął.

Co prawda niechętnie, lecz nie mógł zaprzeczyć, że ta Jacqueline Hammond miała coś w sobie. Nie była piękną, lecz te błękitne oczy i śliczne różowe usta, które leciutko drżały, gdy się denerwowała... Gdyby poznali się w innych okolicznościach, w ogóle w innym życiu, bez tego, co się zdarzyło w tym, to chętnie by się nią zainteresował, spróbował smaku tych ust. I...

-Nie chcę jej więcej widzieć. Co tam te jej niebieskie oczy - wymamrotał ze złością. Już i tak wie, że nie będzie mu łatwym samemu wychować Suzy, zwłaszcza gdy mała podrośnie i będzie potrzebować kobiecego wsparcia. Trudno, jakoś to będzie. On na pewno już z nikim się nie zwiąże. Ma dość małżeństwa, układów, niespełnionych marzeń. Zbyt wiele ma za sobą zawiedzionych nadziei, zbyt wiele stracił.

Musi załatwić sprawę z Jacqueline Hammond i wracać na ranczo do Suzy, gdzie wreszcie odetchnie.

Był pewien, że pójdzie mu z nią łatwiej. Sądził, że w od-

ruchu współczucia oddała komórki jajowe do dowolnego wykorzystania, by pomóc anonimowym bezpłodnym kobietom, lecz nie jest zainteresowana dziećmi. Sprawa miała się jednak zgoła inaczej. Panna Hammond chciała pomóc konkretnej kobiecie, nie zamierzała szafować swymi genami na prawo i lewo. Miała do tego bardzo osobisty stosunek.

To, co zobaczył w jej oczach, gdy mówiła o Suzy...

- Do diabła! - Jak mógł się łudzić, że z taką kobietą cokolwiek pójdzie mu łatwo?

Musi przestać myśleć o tym, jak ona wygląda, i skoncentrować się na tym, jak namówić ją, by zrzekła się praw do dziecka.

Sięgnął po telefon.

Nazajutrz rano Jackie weszła do holu La Torchere. Była zdenerwowana, dręczyły ją niespokojne myśli. Wczoraj przeżyła szok i jeszcze się z niego nie otrząsnęła. Wiadomość o dziecku, spotkanie z Rollinsem... Jej kontakty z mężczyznami były bardzo ograniczone, zresztą żaden z nich nie pozostawił po sobie ciepłych wspomnień, dlatego trzymała się od nich z daleka. Tym bardziej podziałała na nią wczorajsza rozmowa ze Stevenem. Cóż, nie dało się ukryć, że całkiem niespodzianie ożyły jej zmysły.

Wolałaby uniknąć kolejnego spotkania, lecz to było niemożliwe.

Ciekawe, jak przyjmie jej propozycję. Do rana przewracała się z boku na bok, zastanawiając się nad najlepszym rozwiązaniem. Nie będzie zadowolony, to jasne.

Weszła do niewielkiego bocznego pomieszczenia i wyjęła z torebki lusterko, by upewnić się, że wygląda jak należy.

Wszystko było w porządku: starannie upięte włosy, wzrok, z którego niczego nie można było wyczytać.

Jej matka, olśniewająco piękna blondynka, nazwała ją kiedyś odmieńcem. Nie mogła pogodzić się z faktem, że córka była taką niepozorną myszką. I tak się zawsze czuła, nigdzie nie była na miejscu. Dziś ten nierzucający się w oczy wygląd może okazać się plusem. Ważne, by zachowała niewzruszony spokój.

Odetchnęła głęboko i ruszyła do swojego biura, choć w duchu drżała na myśl o czekającym ją spotkaniu. A jednak zachowała zimną krew. Musi porzucić rodzące się zauroczenie RoEinsem. Musi z nim negocjować, by zobaczyć dziecko, i tylko to się Uczy.

-Jackie!

Zdecydowany głos Merry wyrwał ją z rozmyślań. Odwróciła się i popatrzyła na elegancką, choć już nie pierwszej młodości kierowniczkę ośrodka.

O co chodzi?

Domyślam się, że szukasz pana Rollinsa. Siedzi przy stoliku obok plaży. Tam zawsze jest cień i nikt wam nie przeszkodzi. Sama mu to zaproponowałam. Pomyślałam, że interesy lepiej wam pójdą w takim miejscu. - Uśmiechnęła się, choć nie należała do pogodnych osób.

Była za to pomocna w każdej sprawie. Może nawet za bardzo, przemknęło Jackie przez myśl.

Tym razem Merry trafiła jak kulą w płot, bo jakiś romantyczny ustronny zakątek był ostatnim miejscem, gdzie chciałyby spotkać się ze Stevenem. Trudno, niech będzie. Najważniejsze, żeby załatwić sprawę i zobaczyć dziecko.

- Dziękuję, Merry.

- Pokażę ci drogę.

Dopiero gdy były na końcu ścieżki, uświadomiła sobie, że Merry prowadzi ją do altanki na dalekim skraju plaży. Była otoczona palmami i kwitnącymi roślinami, w środku stał nakryty obrusem stolik na dwie osoby. W powietrzu unosił się mocny zapach tropikalnych kwiatów. Kelner już niósł złotą tacę z zimnymi drinkami mieniącymi się w kryształowych szklaneczkach.

Jackie zamrugła.

- W taki upalny dzień nie da się pracować bez chłodnych napoi - uśmiechnęła się Merry, gdy kelner podszedł do stolika.

Jackie nie słuchała. Patrzyła na Rollinsa, który na widok pań podniósł się od stołu. Skinął do kelnera i do Merry, która dyskretnie się oddaliła. Rollins był w białej, rozpiętej pod szyją koszuli i opiętych dżinsach. Podwinięte rękawy odsłaniały mocne, opalone ramiona.

- Witam, pani Hammond. - Lekko się skłonił, wyciągając rękę na powitanie.

Zawahała się. Miał długie, opalone, nieco zniszczone palce. No tak, przecież jest ranczerem. Coś ją zastanowiło. Trudno, by darzył ją sympatią, jednak zachowywał się jak należy. Stara szkoła, maniery bez zarzutu, choćby nie wiem co.

Ledwie się powstrzymała, by nie przymknąć oczu, gdy podawała mu dłoń. Miał silną, ciepłą rękę.

Dzień dobry, panie Rollins. - Usiadła.

Zastanawiałem się, czy nie zmieniała pani zdania.

Z nadzieją, że tak, oczywiście... - Gdy tylko wzruszył ramionami, nie odrywając od niej wzroku, dodała: - W takim razie przejdźmy do rzeczy. Zależy mi, by zrobić to jak najszybciej i jak najprościej.

- Chce pani zobaczyć moją córkę. Nie będę udawał, że jestem tym zachwycony, jednak zgadzam się. Przywiozę ją tutaj w przyszłym tygodniu, zostaniemy na kilka godzin. - Mówił głosem wykluczającym jakąkolwiek dyskusję, choć nie tak ostrym jak wczoraj.

Ciekawe, jak zareaguje, gdy usłyszy jej propozycję. Nie spodoba mu się, to pewne. Nie ma co z tym zwlekać, bo zaraz opuści ją odwaga.

- Chcę dwóch tygodni. - Głos leciutko się jej załamał. Zapadła ciężka cisza. Czowała, że Rollins aż się gotuje. Jego czarne oczy zapłonęły gniewnie.

Pani chyba żartuje.

Nie, nie żartuję. Zwykle...

Nawet nie zamierzam podejmować tego tematu - przerwał jej gwałtownie. - Rozmawiamy o mojej córce.

Wiem. - Coraz trudniej było jej zachować spokój. - Wiem - powtórzyła, starając się powściągnąć emocje. - I zdaję sobie sprawę, co pan teraz myśli. Prosił pan, bym podpisała dokument i na zawsze zrzekła się praw do Suzy. Mam to zrobić już teraz, od razu. Jestem na to gotowa. Podpiszę to w każdej chwili, choćby już. Zniknę z jej życia, ale najpierw chcę spędzić z nią odrobinę czasu. Dwa tygodnie to jest tak niewiele, a ja o nic więcej nie proszę. Mam do tego prawo.

Możemy ustalić to w sądzie.

Owszem, możemy, ale wtedy ktoś będzie musiał wyjaśnić, jakim cudem wykorzystano moje komórki. To poważna sprawa, panie Rollins, złamano bowiem zawartą ze mną umowę. Wyjaśnienie tej sprawy potrwa, wszystko się przedłuży. Jeśli zgodzi się pan na te dwa tygodnie, na zawsze będzie pan miał mnie z głowy. Suzy będzie należeć tylko do pana.

Przecięgnął dłonią po ciemnych włosach.

- Dlaczego tak się pani upiera? Przecież do wczoraj nic pani o niej nie wiedziała. Ona nic dla pani nie znaczy. Za to dla niego znaczy wszystko, czuła to przez skórę. Szanowała to, lecz...

Przez chwilę nie odpowiadała, zbierając myśli. Podniosła głowę, popatrzyła mu prosto w oczy.

- Już zrezygnowałam z jednego dziecka, panie Rollins.

Ofiarowałam moje komórki z pełną świadomością, że to dziecko nie będzie moje, że to nie ja wezmę je w ramiona, gdy przyjdzie na świat. Długo się wahałam, ważyłam za i przeciw, aż wreszcie, dla dobra mojej kuzynki, zdecydowałam się. Choć nie była to dla mnie sprawa bagatelna, sądziłam, że łatwo przez to przejdę, jednak myliłam się. To było bardzo trudne. Oczywiście cieszyłam się, że dzięki mnie Chloe zjawiała się na świecie, a jej mama odzyskała radość życia i wiarę w przyszłość, lecz czułam też ból. Wciąż go czuję. Być może Chloe kiedyś pozna prawdę, lecz nie zależy to ode mnie.

W ogóle nic już ode mnie nie zależy, nie mam żadnych praw do Chloe. Lecz nie buntuję się. Sama podjęłam decyzję i godzę się z konsekwencjami. - Przerwała na chwilę. Głęboko zamyślony Rollins wpatrywał się w nią uważnie. Wiedziała, że analizuje każde jej słowo, stara się dotrzeć do najgłębiej ukrytych treści. - Lecz z Suzy to zupełnie inna sprawa. Moje komórki zostały użyte bez mojej wiedzy i zgody, co jest dla mnie nie do przyjęcia. Wiem, że gdzieś na ranczu rośnie dziewczynka, która poczęła się ze mnie, a ja tym razem mogę choć w maleńkiej mierze zaistnieć w jej życiu. Suzy jest zbyt mała, by mnie zapamiętać, pan też szybko o mnie zapomni, lecz ja zachowam wspomnienia. Odejdę i już nigdy nie będę was niepokoić. Dam słowo, podpiszę stosowny doku-

ment. Lecz nawet niech pan nie próbuje prosić, bym zrezygnowała z Suzy, nie poznawszy jej wcześniej. Nie może być pan taki okrutny. Czy pan by po prostu zniknął, gdyby okazało się, że gdzieś jest pana córka?

Widać było, że poruszyły go jej słowa, zaraz jednak groźnie zmrużył oczy.

-To w taki sposób namawia pani ludzi do cennych darowizn na waszą aukcję? Szantażując ich?

Wezbrała w niej złość, lecz pohamowała się. Testował ją, a na to mu nie pozwoli. Wystarczająco się starała dla ojca i Garreta, który podobno ją kochał. Za dużo ją to kosztowało, za dużo straciła.

- To pan przyszedł do mnie, nie ja do pana - stwierdziła chłodno.

Wpatrywali się w siebie w milczeniu. Sekundy mijały.

- Jest pani twardą kobietą, pani Hammond – stwierdził wreszcie.

Zaskoczył ją tym. Mówiono o niej, że jest nieśmiała, urocza, delikatna, nazywano milczkiem, watą cukrową i listkiem na wietrze, ale „twarda kobieta”? Choć też nigdy nie była w podobnej sytuacji, nigdy nie walczyła o taką szansę. Musi być twarda, nie może się ugiąć.

Jak podpiszemy dokumenty, przywiezie pan tutaj Suzy?

Nie, na pewno nie tutaj. Przyjedzie pani do mnie, i nawet o tym nie dyskutujemy. Prowadzę ranczo i muszę być na miejscu. Nie mogę rzucić wszystkiego na dwa tygodnie, nie zostawię też Suzy samej. Albo moje ranczo, albo nic.

Zmartwiła w duchu na myśl, co to znaczy, lecz sprawa była jasna: albo-albo.

- Zgoda, ale jedźmy od razu. Jestem gotowa.

Przesunął po niej badawczym spojrzeniem. Wiedziała,



że nic nie uszło jego uwagi: ani staranna fryzura, ani kremowa sukienka, ani stonowane w kolorze czółenka. Niemal czekała, że zaraz się uśmiechnie.

- Nie wygląda pani na kogoś, kto się wybiera na ranczo.

Wewnętrznie też nie była na to gotowa. Bała się krów, byków, koni i co tam jeszcze mają.

- Pojadę do pana córki, niezależnie gdzie przebywa - rzekła stanowczo. - Spędzę tam dwa tygodnie, a potem zniknę, wrócę do swojego życia. Więcej mnie pan nie zobaczy.

Powoli skinął głową.

- Trzymam panią za słowo. Lecz jeśli kiedykolwiek spróbuje pani zerwać naszą umowę, nie cofnę się przed niczym.

Każdy, kto będzie chciał odebrać mi Suzy, dla własnego dobra lepiej niech od razu znika za horyzontem. Choć i tak bym go dopadł za sam zamiar...

W tych słowach zawarł wszystko. Być może już przeciągnęła strunę, sięgnęła po zbyt wiele. Dotąd nie miała do czynienia z kimś takim jak Steven Rollins. On naprawdę jest... Odepchnęła od siebie te myśli.

Wróciła do nich, gdy już znalazła się w swoim pokoju. Była podekscytowana i ożywiona jak nigdy, choć doskonale wiedziała, że Steven Rollins najchętniej zapomniałby o jej istnieniu.

Zgodziła się pojechać do niego, przeżyć dwa tygodnie pod dachem mężczyzny, który jej nienawidzi. Bardzo przystojnego mężczyzny. Jak ona to wytrzyma? Jak sobie poradzi, gdy znajdzie się z nim sam na sam?

- Jak to, chcesz mnie zostawić z tym wszystkim?! - zawołała zdumiona Parris. - Nie możesz pojechać na jakieś ranczo, a całą robotę zrzucić na mnie.

Już miała na końcu języka, że do tej pory siostra jeszcze się niczym nie wykazała, lecz powstrzymała się. Parris już taka była. Zawsze wszystko przychodziło jej łatwo, o nic nie musiała zabiegać. Gdy ojciec po rozwodzie ożenił się z matką Parris, Jackie robiła, co mogła, by zdobyć jego uznanie. Marzyła, by wreszcie ją zauważył. Daremnie. Miał nową rodzinę i nową córkę, nimi się zajmował, a Jackie po prostu skreślił. Trzy lata temu wydawało się jej, że kocha Garreta Brickwatera, lecz gdy przedstawiła mu piękną Parris, od razu stracił zainteresowanie starszą siostrą.

Zawsze tak było. Nigdy nikt jej nie chciał. Nawet własna matka wypominała jej, że przez nią straciła figurę, a w konsekwencji męża. Jackie zawsze czuła się odrzucona, nigdzie nie była u siebie. Takie brzydkie kaczątko.

Perspektywa dwóch tygodni na ranchu Stevena przerażała ją, jednak była zdeterminowana. Pojedzie tam bez względu na wszystko. Parris musi włączyć się w prowadzenie firmy; nie ma innego wyjścia, jeśli chcą coś osiągnąć.

Nie martw się, dasz sobie radę - zapewniła ją. - Nie jadę daleko i cały czas będę pod telefonem.

Jedziesz na rancho... zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

Krowy i te... swojskie zapachy. Niby niedaleko, ale to całkiem inny świat. A jeśli stanie się coś, z czym nie będę umiała sobie poradzić? Co będzie, jeśli ktoś znów zechce wycofać darowiznę?

Jackie westchnęła.

Musisz być miła i czarująca. Pamiętaj, że ta firma to wszystko, co mamy. Nasze jedyne źródło utrzymania.

Więc dlaczego chcesz to teraz zostawić? Nawet nigdy nie widziałas tego dziecka.

Bo biznes nigdy nie da mi tego, co to spotkanie.

Czyli czego?

Nie wiem, nie umiem tego. wyjaśnić. Wiem tylko, że muszę to zrobić. Zresztą to tylko dwa tygodnie. Co złego może się stać przez ten czas?

Popatrzyły na siebie. Każdy dzień przynosił złe nowiny. Aukcja rysowała się w coraz ciemniejszych barwach. Kto wie, czy w ogóle do niej dojdzie. Jackie najchętniej by się stąd nie ruszała. Gdyby Steven zgodził się przywieźć Suzy do LaTorchere...

Jednak w głębi duszy przypuszczała, że nawet sąd nie przychyliłby się do jej prośby, ba, najpewniej w ogóle nie przyznałby jej żadnych praw. Dlatego wołała nie wkraczać na grząski grunt. Ze swej strony Steven lękał się, że mogłaby przed sądem zyskać całkiem sporo, i z tej właśnie przyczyny zgodził się na jej warunki. Też stapał po grząskim gruncie. Oboje woleli nie ryzykować.

Będę z tobą w kontakcie - obiecała Jackie. - Jak ktoś będzie stwarzał zbyt duże problemy, zadzwonię do niego. W razie potrzeby możemy zaaranżować telekonferencję również z twoim udziałem. Damy sobie radę.

No dobrze, skoro nie ma innego wyjścia.

Nie było. Gdyby mogła uniknąć mieszkania w domu Stevena, który będzie wciąż mieć ją na oku, kontrolować każdy jej ruch, a w jej pamięci będzie trwać wspomnienie dotyku jego ciepłej dłoni - skorzystałaby z tego bez chwili namysłu. Jednak innego wyjścia nie było.

Cóż, wypracuje sobie jakiś sposób, by trzymać się od Stevena z daleka. Musi tylko obmyślić dobry plan.

-Myślisz, że coś z tego będzie? - Merry z nadzieją po patrzyła na Lisę.

Pytasz, czy według mnie coś między nimi iskrzy? Chyba tak. On jest wyjątkowo męski, ona urocza z tymi swoimi ślicznymi oczkami. Raczej się sobie podobają, ale czy coś z tego wyniknie? Czy zakochają się w sobie? - Lissa zmarszczyła czoło w zadumie.

No właśnie. Zbadałam ich przeszłość. Steven musiał porzucić marzenia o karierze piłkarskiej, potem o udanym małżeństwie. Nic dziwnego, że zaczął trzeźwo patrzeć na życie, wyzbył się romantyzmu. Nie chce się z nikim wiązać, nie chce, by na jego ranczu zamieszkała jakaś kobieta, która miałaby stać się nową mamą dla Suzy. Z kolei Jackie jest zrażona do facetów, a ranczo...

Czyli że nic z tego nie będzie... - Merry popatrzyła bezradnie na Lissę.

Kompletnie do siebie nie pasują - przyznała Lissa. -No i wyjadą z ośrodka, co bardzo zmniejszy twoje możliwości.

A więc znów straciłam kilka dni! Zmarnowałam na Stevena i Jackie sporo czasu, a rokowania są marne. Muszę więc podziałać inaczej, na odległość. - Wyjęła z kieszeni komórkę z kolorowym ekranem.

Co robisz, Merry?

Przecież wiesz. Muszę wykorzystać tę odrobinę magii, jaka mi jeszcze pozostała. - Zamierzała monitorować komórką poczynania swej pary. - Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie, skoro są tak daleko, ale w razie gdybym ujrzała obiecującą sytuację, to...

To co?

Coś bym zrobiła. Cokolwiek.

Uważaj, Merry. Pamiętaj, jak już raz próbowałaś na siłę skojarzyć parę, która zupełnie do siebie nie pasowała?

W efekcie oboje postanowili twardo, że z nikim nigdy się nie zwiążą. I jak dotąd dotrzymali słowa.

- Wiem. To był błąd. Z Jackie i Stevenem będę bardzo uważać, nie popełnię żadnego błędu. W każdym razie taką mam nadzieję.

RS

## ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy nazajutrz zeszli z promu na ląd i wsiedli do terenówki, Steven cieszył się, że jazda na ranczo nie potrwa długo. Co jak co, ale on i ta panna Jacqueline byli postaciami z zupełnie innych bajek. I tak się dziwił, że bez oporów zgodziła się jechać z nim tym pikapem.

Zerknął na nią z ukosa. Surowy kostium w odcieniu gołębiej szarości, ciemne włosy spięte srebrną spinką w koński ogon, spódniczka ledwie odsłaniająca ładne kolana... po prostu dziewczyna z innego świata!

Jechała pani kiedyś takim pikapem? - zagadnął z lekkim uśmiechem.

Cóż, zwykle jeżdżę powozem ze złotej dyni zaprzęgniętym w białe konie - stwierdziła cierpko - ale niech się pan tym nie przejmuję. Na pewno wytrzymam. Choć, szczerze mówiąc, trochę pan przesadza, bo to raczej nie jest taki sobie zwyczajny pikap. Odtwarzacz DVD, GPS, uchwyty na szklaneczki i skórzana tapicerka... Z pewnością gdyby w tych stronach klimat był chłodniejszy, miałby pan również podgrzewane fotele.

Nie mógł się nie roześmiać.

Punkt dla pani, pani Hammond. Niezręcznie się wyraziłem, bo chodziło mi o coś innego.

Wiem, o co panu chodziło, panie Rollins. Że ranczo to

dla mnie terra incognita. Owszem, to prawda, ale dlaczego miałabym się tego wstydzić? Urodziłam się i wychowałam w mieście, to wszystko... - Przerwała na chwilę. - Ale o czym my w ogóle rozmawiamy? Rzecz w tym, że... że mam po raz pierwszy zobaczyć pana córeczkę i... - Zamilkła gwałtownie. Dopiero teraz uświadomił sobie, w jak wielkim stresie jest panna Hammond. Ta stanowcza kobieta, która śmiało stawiała mu czoło, teraz strasznie się denerwuje. Przed nim nie uległa, nawet gdy jej sytuacja robiła się coraz trudniejsza, a teraz drży przed spotkaniem z roczną dziewczynką. Celowo się tak ubrała, by wyrzucić odpowiednie wrażenie.

- Hm, Suzy ma słabość do szarości - próbował rozładować atmosferę. - Chociaż może być rozczarowana, że nie ma pani pereł i białych rękawiczek.

Ku jego zaskoczeniu uśmiechnęła się, więcej, rozpromieniła się w uśmiechu. Ten widok tak go poraził, że na moment przestał oddychać.

Perły? Też coś... Zastanawiałam się nad brylantowym diademem.

O, to by pasowało - rzucił pogodnie, jednak w duchu wcale nie był taki spokojny. Reakcja na ten jej uśmiech zaskoczyła go i obudziła w nim czujność. Lepiej trzymać się z dala od tej kobiety. Już dawno zrezygnował z marzeń o życiu we dwoje, bo zbyt wiele stracił. Najpierw musiał zrezygnować z kariery sportowej, potem niewiele brakowało, by jego małżeństwo się rozpadło, a gdy wreszcie jakoś porozumieli się z Michelle i odżyła w nim nadzieja, że najgorsze już jest za nimi, stracił żonę. Nie był mnichem, miał kogoś w mieście, lecz ta znajomość nie angażowała żadnej ze stron. Spotykali się od czasu do czasu, na tym się kończyło. Obojgu odpowiadał

ten układ i nie miał zamiaru go zmieniać, zwłaszcza że z panną Hammond wiążą się tylko problemy.

Jesteśmy na miejscu. To moje ranczo, Rollins Acres. -Skręcił w szeroką bramę. - Najbliższe dwa tygodnie spędzi pani tutaj. Myślę, że diamentowy diadem może pani schować do szkatułki. - Popatrzył na Jackie. Miała urzekająco błękitne oczy. Z tym diademem pewnie ma pan rację - powiedziała miękko - ale chciałam zapytać... czy przez te dwa tygodnie mógłby pan mówić do mnie po imieniu? Skoro będziemy się ciągle widywać...

Nie będziemy - wszedł jej w słowo i poniewczasie zrozumiał, jak to zabrzmiało. Przecież przystał na jej warunki i nie powinien zachowywać się niegrzecznie. Po co pogarszać i tak niezręczną sytuację? - Chodzi mi oto, że większość czasu będzie pani spędzała w domu, tak jak Suzy, natomiast ja zazwyczaj wracam z pracy dopiero wieczorem. Natomiast masz rację, lepiej mówmy sobie po imieniu. Też tak wolę. - Zauważył dziwną minę Jackie. - O co chodzi?

Pozwolisz, bym zostawała sama z Suzy? - spytała zdumiona. A co W tym złego?

- Suzy to małe dziecko, a ja jestem zupełnie obcą osobą. Steven zatrzymał samochód.

-Zaskakuje mnie pani... Jackie. Wymogłaś na mnie, bym wziął cię na dwa tygodnie pod swój dach, a teraz się nabzdyczasz, że niby za słabo troszczę się o córkę.

- Wcale nie. - Skrzyżowała ręce pod biustem. Popatrzył na nią i dopiero teraz spostrzegł to, czego wcześniej nie zauważył pod jej luźnym strojem. Zarumieniła się, uniosła ramiona wyżej. - Wcale się nie nabzdyczam.



Nie mógł pohamować uśmiechu.

- Właśnie że tak. Jesteś nabzdyczona i zmieszana. Jackie, wyluzuj. Nie mam zwyczaju czepiać się moich gości, nie zamierzam też zostawiać cię sam na sam z Suzy. Mała ma piastunkę.

-Aha...

No widzisz. Nie bierz tego do siebie, ale jeśli chodzi o Suzy, to nie ufam nikomu, kogo dobrze nie znam. Jej opiekunka, pani Lerner, musiała przedstawić pięć prywatnych i pięć zawodowych rekomendacji, a mój detektyw dokładnie ją sprawdził. Gdy chodzi o moje dziecko, nie mam zamiaru ryzykować.

Mnie też sprawdziłeś? Wynająłeś detektywa?

Nie zrobił tego, wystarczyły mu dane, jakie na jej temat zebrał jego prawnik. Nie było w nich nic niepokojącego. Jej ojciec był bogatym przedsiębiorcą zabiegającym jedynie o siebie i własne interesy. Matka nie żyła. Z rodziny miała jeszcze przyrodną siostrę, z którą wspólnie prowadziła firmę. W sumie nic niepokojącego. Choć patrząc na jej profil, na apetyczne krągłości rysujące się pod kostiumem, zaczynał zastanawiać się, czy rzeczywiście nic więcej by nie znalazł. Z pewnością przyciągała do siebie wielu facetów i niejednen z nich chętnie by się z nią bliżej zaprzyjaźnił. Jackie z pewnością ma swoje tajemnice.

- Jest może coś, do czego chciałabyś się przyznać? - zapytał.

- Dawne grzeszki, jakieś powody, dla których nie powinienem zostawiać cię z moim dzieckiem?

Popatrzyła na niego przeciągle.

- Kiedyś zwędziłam mamie pudełko belgijskich czekoladek, wykradłam je z jej szafy. Jak widzisz, prawdziwa kryminalistka ze mnie. Jeśli nie będziesz trzymał ręki na pul-

się, mogę źle wpłynąć na Suzy, bo tak samo jak ja uzależni się od czekolady. Jestem niebezpieczną kobietą, Steven. Pewnie liczyła, że zaraz zaprzeczy, lecz nie mógł tego zrobić. Bo rzeczywiście miała rację. Ten uśmiech, te oczy, a przede wszystkim bezbronność, jaką w niej wyczuwał, czyniły z niej osobę nad wyraz niebezpieczną. Miała w sobie coś, co sprawiało, że człowiek chciał ją pocałować, poczuć smak skradzionych czekoladek, smak kobiety.

- W takim razie będę cię mieć. na oku - rzekł z powagą. I zamierzał dotrzymać obietnicy. Musi dbać o Suzy, jej bezpieczeństwo, choć wolałby ograniczyć swój kontakt z Jackie. Zatrzymał samochód przed masywnym piętrowym domem z trzech stron otoczonym ocienioną werandą.

- Jaki ładny kolor - zachwyciła się Jackie, przyglądając się bładoniebieskim ścianom. - Choć bardziej pasuje mi do kobiety niż do mężczyzny, który jeździ wielką czarną szpanerską terenówką.

- To moja żona wybrała kolor elewacji.

-Przepraszam...

Nie przepraszaj, bo nie ma za co. Spytałaś tylko o kolor, co w tym złego? Akurat zadawaniem pytań nie musisz się przejmować. - Za późno ugryzł się w język. Nie powinien niedwuznacznie dawać do zrozumienia, że jest tu wbrew jego woli, wdarła się na siłę.

No tak, ale... dawno straciłeś żonę?

Zmarła zaraz po urodzeniu Suzy. Od tamtej pory jesteście tylko we dwoje, Suzy i ja..I tak zostanie. - Zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to jak ostrzeżenie, choć bardziej kierował te słowa do siebie. Przywiózł do domu ponętą kobietę, lecz ona nie jest dla niego.

Rozumiem. Ja też trzymam się z dala od mężczyzn. -

Gdy popatrzył na nią ze zdziwieniem, oblała się rumieńcem. - Jakoś nie układa mi się z facetami, w każdym razie nie na dłuższą metę. Jestem dość niezależna, lubię odpowiadać tylko za siebie i nie chcę tego zmieniać, bo jest mi tak dobrze. To wiele wyjaśnia, pomyślał Steven. Oznacza też, że nie jest z nikim związana i nie chce tego zmieniać. Czyli on może odetchnąć z ulgą.

Jednak tak się nie stało, bo nie wiedzieć dlaczego obudziła się w nim ciekawość. Kiedy ostatni raz Jackie się z kimś całowała, szaleńczo, do utraty tchu? I kiedy to się powtórzy? Niepokoiła ją jej reakcja na Stevena. Wystarczyło, by na nią spojrział, a natychmiast działo się z nią coś dziwnego. Jak jeszcze nigdy dotąd czuła się kobietą, to poczucie było wręcz dojmujące.

Nie chciała teraz o tym myśleć. Lada moment zobaczy dziecko, dziecko, które ma w sobie jej cząstkę, które w jakimś stopniu jest takie jak ona.

Zacisnęła kciuki. Steven obszedł samochód, pomógł jej wsiąść. Miała lodowate dłonie.

To jeszcze mała dziewczynka - powiedział miękko. Oczy mu złagodniały.

Nie mam żadnego doświadczenia z dziećmi.

Nie przejmuj się tym, w ogóle o tym nie myśl. Przy takich szkrabach człowiek działa instynktownie. Tak to już jest.

Tuż za nimi rozległ się dźwięk hamującego samochodu, zachrząsał żwir na podjeździe.

Ben - powiedział Steven, patrząc na wyskakującego z półciężarówki mężczyznę.

Steven, musimy ruszać! - Na twarzy Bena malował się

niepokój. - Przepraszam, że tak znienacka, ale nie ma czasu. Hoagie chciał zaszpanować przed chłopakami nową terenówką i zaczął wywijać na polu ósemki. Rzuciło go na płot. Przebił ogrodzenie i wpadł na pastwisko. Nasze wściekle byki tylko na to czekały. Już są na polu pani Redfern. Wyobrażasz sobie, co będzie, jak dobiorą się do jej wychuchanych krówek? Jak tylko zobaczyłem, że jedziesz, zostawiłem chłopaków i na pełnym gazie pogałem po ciebie.

Steven zmeł pod nosem przekleństwo. Popatrzył na Jackie, potem na dom. Przeniósł wzrok w dal, skąd przyjechał Ben. Domyśliła się, że bije się z myślami. Nie chciał zostawiać jej samej w domu, a drugiej strony rwał się, by pędzić na ratunek.

Mogła poczuć się urażona, lecz dopiero co sama oburzała się, że chce zostawić Suzy z obcą osobą.

-Poczekam w aucie - zaproponowała.

Steven nie tracił czasu na dyskusję. Wskoczył do samochodu i ruszyli za Benem.

Dziękuję. Przepraszam, że tak wyszło.

Czy to coś poważnego?

Och, w najgorszym razie moje byki dobiorą się do krów pani Redfern, co z pewnością się jej nie spodoba. Ma niewielkie stado, a swoje krówki traktuje jak domowe pieski czy kotki. Chucha na nie i dmucha, a byków nie dopuszcza, uznaje jedynie sztuczną inseminację. Wprawdzie natury nie da się oszukać, ale... racja jest po jej stronie. Moje zwierzęta nie powinny wkraczać na jej teren, odpowiedzialność za to spoczywa na mnie. Jeśli nie potrafię upilnować mojego stada, nie powinienem zajmować się hodowlą.

Przecież ciebie tutaj nie było.

To nie ma znaczenia, i tak za to odpowiadam. Pewnie

podobnie myślisz o swojej firmie. Nawet gdy cię nie ma na miejscu, wszystko powinno iść bez zgrzytów.

Poczuła ukłucie lęku. Jak Parris sobie radzi? Pośpiesznie odpędziła te niespokojne myśli. Doskonale rozumiała, o czym mówił Steven.

Samochód gwałtownie się zatrzymał.

Dalej pojedę konno. - Steven wskazał uwiązane wierzchowce. - Moja sąsiadka jest bardzo zasadnicza, nie mogę wjechać na jej teren autem. Nie ruszaj się stąd.

Twoje ranczo przeze mnie nie ucierpi - rzekła ze złością. - To, że nie czuję do ciebie sympatii, jeszcze nie znaczy, że zrobię coś złego.

Steven zamrugał.

- Źle mnie zrozumiałaś. Chodziło mi tylko o twoje dobro. Nie chcę, by spotkała cię jakaś krzywda. Czy masz blade pojęcie, ile waży krowa lub byk?

-Dużo?

Uśmiechnął się lekko.

-Owszem, dużo. Jesteś dziewczyną z miasta. Nie chcę, żebyś coś sobie zrobiła. Ludzie jeszcze by pomyśleli, że chcąc się ciebie pozbyć, celowo naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Wciąż się uśmiechał, lecz nie była przekonana, czy tylko sobie żartuje. Założyła, że tak.

Posiedzę w samochodzie.

Bardzo o to proszę.

Po chwili już galopował za Benem.

Siedziała w aucie, mając wokół siebie morze traw, gdzieś w oddali majaczyły pojedyncze drzewa. Była w kostiumie i na wysokich obcasach, jej dziecko znajdowało się daleko stąd, podobnie jak mężczyzna, który ją tutaj przy-

wiózł. Skądś dobiegało ryczenie krów... chyba krów? Ciekawe, czy mają rogi? Steven miał rację, to nie był jej świat. Godziny mijały, słońce zaczynało przesuwac się ku zachodowi. Jackie była głodna i spragniona ludzkiego towarzystwa. Korciło ją, by wysiąść i ruszyć na poszukiwanie Stevena, lecz powstrzymywał ją lęk.

W pewnej chwili do samochodu powoli podeszła krowa. Jackie szeroko otworzyła oczy.

- Dobra krówka - powiedziała, a zwierzę pochyliło głowę i zaczęło pocierać nią o kłamkę. Jackie żałowała, że nie może zdobyć się na to, by wysunąć rękę i pogłaskać krowę po pysku.

Może z córeczką Stevena też będzie się czuła nieswojo. Nie chciała, by tak było. Steven uwielbiał Suzy, ona również chciała poczuć z nią taką więź. Może poprosić o go wskazówki? Nie, nie wypada tego robić, skoro na siłę wtargnęła w ich życie.

Podniosła głowę i w tym samym momencie ujrzała zbliżającego się Stevena. Jego mocna sylwetka rysowała się na tle różowopomarańczowego nieba. Był wysoki, barczysty i wyraźnie zmęczony. Pierwsza znajoma postać ód tylu godzin. Ledwie się powstrzymała, by nie pobiec do niego, lecz zamiast tego zacisnęła palce na fotelu. Steven poklepał krowę, zwierzę odeszło od auta.

Twoja kumpelka? - zapytał, otwierając drzwi.

Jakbyś zgadł. A może strażnik? Nie przysłałeś jej, by mnie pilnowała?

Uniósł brew.

Nie wpadłem na to, ale pomysł całkiem niezły.

Jak było? - zapytała, gdy usiadł za kierownicą. - Udało się?

Gdzie się podział twój koń?

- Ben i Hoagie zabrali go do stajni. Na pewno wszystko OK? Nie sądziłem, że zabierze mi to tyle czasu. Jackie rozprostowała nogi.

- Nie ruszyłam się z samochodu, jestem cała i zdrowa.

Możesz odetchnąć spokojnie.

Wcale nie wyglądał na uspokojonego.

- No dobrze, w takim razie jedziemy do Suzy.

I nagle dotarło do niej, co tak naprawdę czuje. Miał za sobą kilka trudnych godzin, był zmęczony, a teraz czekało go mało przyjemne zadanie: pokazanie Jackie dziecka.

Znowu poczuła się odepchnięta, niechciana.

- No to jedźmy - powiedziała.

Steven ruszył bez słowa. Powoli zapadał zmierzch.

- Jackie - powiedział po chwili głosem znacznie miłszym, cieplejszym.

Ciekawe, ile kobiet przysuwało się do niego bliżej, gdy w ciemności zagadywał je tym tonem? - pomyślała. Choć po co zadręcza się takimi myślami?

Słucham?

Dziękuję, że zostałam w samochodzie. Zachowałem się niegrzecznie, w dodatku wobec kobiety, która jest moim gościem. Moja mama na pewno ostro by mnie za to zrugala.

Chciałeś mnie chronić.

Byłem zły, bo nie wiedziałem, co z tobą zrobić.

Mhm... - Te słowa dotknęły ją, obudziły dawne, bolesne wspomnienia. Jej rodzina też nigdy nie wiedziała, co ma z nią począć.

Powiniennem wpuścić cię do domu.

Nie, wcale nie - odparła z przekonaniem. - Odpowiadasz za Suzy, ona ma tylko ciebie. Czasem po prostu mu-

sisz być niegrzeczny wobec innych, by ją chronić. Podoba mi się, że tak bardzo się o nią troszczysz.

Każdy ojciec kocha swoją córkę.

Nie każdy. - Gdy poczuła na sobie jego spojrzenie, pożałowała, że nie może cofnąć tych słów. - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę jej uśmiech - odezwała się, by zmienić temat. - Nie możemy jechać szybciej?

Zaraz będziemy w domu. - Ton jego głosu świadczył, jak ważny jest dla niego ten dom.

Sama nigdy nie miała takiego miejsca - domu, który by kochała - ale nie chciała tego rozpamiętywać. Nie chciała też, by Steven jeszcze kiedyś znowu tak na nią patrzył. Jakby zamierzał przeniknąć jej tajemnice, przejrzeć wszystkie słabości...

Tym razem wpuścisz mnie do środka? - przekomarzała się.

Tym razem tak. Proszę. - Zatrzymał samochód.

Jego spojrzenie wyrażało więcej niż słowa. Była gotowa się założyć, że każda kobieta, którą w ten sposób zapraszał do siebie, po prostu padała z wrażenia i pożądania.

Ona nie należała do takich mile widzianych gości. Przyszła tu z konkretnym zamiarem.

- No to zaczynajmy te wspólne dwa tygodnie - powiedziała. - Zegar już tyka.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Suzy siedziała na podłodze wśród rozrzuconych plastikowych klocków, zawzięcie bawiąc się jednym z nich. Na widok wchodzących do pokoju Stevena i Jackie podniosła główkę i jej buzia natychmiast się rozpromieniła.

Tata! - zapiszczała, a Steven pochylił się i z czułością wziął ją na ręce.

Cześć, Pimpusiu - powiedział miękko, całując jej ciemne, mięciutkie loczki. - Stęskniłem się za tobą, skarbie.

Suzy zagruchała cichutko, wlepiając w ojca wielkie niebieskie oczka. Po chwili przesunęła spojrzenie na Jackie. Na widok nieznajomej osoby spięła się nieco.

Jaka ty jesteś śliczna - wyszeptła Jackie. Nie poruszyła się z miejsca, nie próbowała dotknąć małej.

Pum - powiedziała Suzy.

Jackie pytająco popatrzyła na Stevena. Jej oczy miały ten sam błękitny odcień co oczy Suzy, zauważył mimowolnie.

Michelle, jego żona, zawsze marzyła, by ich dziecko miało niebieskie oczy. Marzyła o wielu innych rzeczach, lecz on nie zawsze dzielił te marzenia.

- Pum? - spytała Jackie, naśladując ton małej.

Steven nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Sam nie wiem, co to dokładnie znaczy - odparł, wzruszając ramionami. - Tak określa wszystko, co jest dla niej nowe.

Aha - wyszeptwała Jackie. Dotknęła jego rękawa. - Okropnie się bałam, że zaczniesz płakać. Na szczęście tak się nie stało. Jackie, nie jesteś taka straszna.

Sam powiedziałaś, że jestem realistką - rzekła z urazą.

Przecież to nic złego. Nikt wcześniej ci tego nie powiedział?

- Popatrz na jej twarz, lśniące ciemne włosy.

Jackie zmierzyła go ostrym spojrzeniem, przeniosła wzrok na Suzy.

Większość ludzi uważa mnie za zgodną, niekonfliktową osobę.

Ciebie?

Tak. Zawsze staram się unikać konfrontacji, wolę iść na ustępstwa.

Zaśmiał się.

W takim razie musiałem poruszyć bardzo czułą strunę, skoro tak mnie potraktowałaś. - Gdy w jej oczach mignął lęk, dodał łagodnie: - Rozluźnij się. Lubię trochę podrażnić przeciwnika. Kiedyś ostro grałem w piłkę.

Pewnie byłeś w tym niezły. - Taksująco popatrzyła na jego bicepsy, a w nim obudziła się dzika pokusa, by napiąć mięśnie i pokazać Jackie, jaki jest silny.

Opanował tę chęć, skrzywił się leciutko.

Stare dzieje... - Dawno stracił marzenia.

Pum? - zagulgotała Suzy. Jackie przysunęła się bliżej. Steven wciągnął słodki zapach dziecka, a Suzy trzepnęła go trzymającym w ręczce klocek.

Ty despotko - przemówił do niej pieszczotliwie, a mała zachichotała uszczęśliwiona. Gwałtownie pochyliła się ku niemu, chcąc dać mu całusa, i jej mokre usteczka wylądowały na jego koszuli.

Usłyszał cichy dźwięk i odwrócił się. Jackie miała dziwnie załzawione oczy. Nadal nie próbowała wyciągnąć ręki do Suzy. Wciąż trzymała się na dystans.

- Suzy, misiaczku, to jest... pani Hammond. - Zabrzmiało to zbyt oficjalnie, lecz jak, na Boga, miał przedstawić dziecku jego matkę?

Mała wsunęła do buzi róg gumowego klocka i z uwagą wpatrywała się w Jackie, jakby doskonale zrozumiała słowa ojca. Jackie też nie odrywała od niej zachwyconych oczu.

Podsunał córkę w jej stronę.

- Ona nie gryzie — rzekł. - W każdym razie rzadko.

Jackie wlepiła w niego rozszerzone oczy. Patrzyła tak, jakby właśnie darował jej największy skarb.

- Na pewno?

- Nie przypuszczam, byś zrobiła coś drastycznego, gdy jestem tuż obok ciebie.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła ramiona po małą. Suzy bez protestu dała się wziąć na ręce. Jackie nie pierwszy raz trzymała dziecko, jednak widać było, że czuje się trochę nieswojo. A jednocześnie promieniała, jakby spotkało ją niebywale szczęście.

Tak było, póki Suzy nie zaczęła płakać.

- Ojej, Steven, przestraszyłam ją - jęknęła z rozpaczą.

Suzy zapłakała jeszcze głośniej.

Jackie podała mu córkę. Przytulił ją do siebie, uspokajająco gładził po plecach.

- Już wszystko dobrze - zamruczał, sam do końca nie wiedząc, czy mówi to do płaczącego dziecka, czy do zdenerwowanej kobiety.

Jej usta drżały. Próbowала się opanować i nawet zmusi-

ła się do bladego uśmiechu, lecz w oczach wciąż czaił się smutek.

- O tej porze zwykle zasypia - rzekł Steven, z czułością przytulając córeczkę. Po chwili oddał ją opiekunce, szczupłej kobiecie o zaciętej twarzy, która świata nie widziała po za Suzy.

Mała nie zaprotestowała. Gdy pani Lerner wyszła z pokoju, Steven odwrócił się do Jackie.

- Na wszystko trzeba czasu

Oboje jednak wiedzieli, że akurat czasu jest bardzo niewiele. W nocy obudził go jakiś odgłos. Wstał, wciągnął na siebie dżinsy i ruszył do salonu.

Na kanapie siedziała Jackie. Ubrana w pastelowy niebieski szlafrok zasłaniający ją od stóp do głów, z rozpuszczonymi włosami wydała mu się bardzo młoda. Z danych zebranych przez prawnika wiedział, że ma trzydzieści jeden lat, ale zupełnie nie wyglądała na swój wiek.

Trzymała na kolanach album ze zdjęciami Suzy. Podłoga skrzypnęła i Jackie podniosła oczy.

Przepraszam. Obudziłam cię? - zapytała.

Nie, zwykle o tej porze robię obchód domu, by upewnić się, że wszystko jest w porządku i Suzy spokojnie śpi.

Ja... - Wskazała na album, - Suzy wygląda na bardzo szczęśliwe dziecko.

Przez cały czas się śmieje. - Gdy zagryzła usta, dodał: -

Jackie, przestań się dręczyć. Suzy jest malutkim dzieckiem.

Potrzebuje czasu, by oswoić się z nowymi osobami. Nic jej nie zrobiłaś. Jestem pewien, że teraz śpi i uśmiecha się przez sen. Chcesz zobaczyć?

Oczy błysnęły jej radośnie.

- Tak, proszę.

Co mógł zrobić innego, jak podać jej rękę? Co innego mogła uczynić, jak jej nie przyjąć?

Miała delikatną, miłą w dotyku skórę. Już nie pamiętał, kiedy ostatni raz trzymał tak kobietę za rękę. Szybko poprowadził Jackie do pokoju Suzy, cichutko otworzył drzwi.

Do środka weszli na palcach. Śpiąca Suzy w bladoróżowych śpiószkach wyglądała uroczo, jak aniołek. Rzęsy rzucały cień na policzki, delikatne loczki ciemniały na poduszce, słodkie różowe usteczka urzekały. W ciszy słyszeli jej miarowy oddech. Steven patrzył na córeczkę tkliwie, z sercem przepelnionym miłością.

Zerknął ukradkiem w bok. Stojąca w pobliżu lampka w kształcie Kubusia Puchatka rzucała słabe światło, w półmroku widział twarz Jackie. Też wyglądała jak anioł, anioł w ciele kobiety. Wpatrywała się w dziecko błyszczącymi szczęściem oczami, lecz gdy przeniosła na niego wzrok, w jej oczach dostrzegł ból.

Wyciągnął ją z pokoju, zamknął drzwi.

- Chciałabym mieć taką kruszynę - wyszeptwała. - Masz wielkie szczęście. Serce mi topnieje, gdy na nią patrzę.

Uniósł brwi.

- Może jednak się pomyliłem, Jackie. Może wcale nie jesteś taka twarda.

Popatrzyła na niego chmurnie. O to mu chodziło. Nie chciał, żeby się rozklejała.

Mówiłam ci, że źle mnie oceniasz. Naprawdę jestem bezkonfliktowa i nie robię problemów.

No tak, już to mówiłaś. - Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Niektórzy nawet mówią, że jestem miękka jak wata cukrowa.  
No nie, to już gruba przesada! - Roześmiał się.

Mylisz się, tak jest. Nigdy się nie spieram. Nie walczę.

Wmawiasz mi.

Mówię szczerze. - Popatrzyła na niego z urazą.

Myślę, że jesteś gotowa walczyć, gdy chodzi o naprawdę istotne rzeczy - Sam nie wiedział, dlaczego podszedł do niej krok bliżej.

Jackie głośno wypuściła powietrze. Wyciągnął rękę i ujął ją za podbródek.

- Co robisz? - Głos jej drżał, lecz patrzyła na niego śmiało.

Jej różowe, pełne usta fascynowały go.

Pochylił się i musnął ustami jej wargi. Trwało to mgnienie, lecz wrażenie było oszałamiające. Uderzyło mu do głowy, zapragnął więcej.

- Panie Rollins?

Popatrzył na nią, zaklął pod nosem.

- Jackie, trzeba mnie było powstrzymać. Przydeptać mi palce albo walnąć w brzuch.

Zamrugła.

- Całowałeś mnie, licząc, że cię zaatakuję?

Zakłopotany przeciągnął palcami po potarganych włosach.

- Wciąż trzymasz mnie na dystans, nie pozwalasz się zbliżyć.

Chciałem udowodnić, że nie jesteś taka ustępliwa czy miękka jak wata cukrowa, gdy trzeba okazać zdecydowanie.

Nie mogła pojąć jego spojrzenia, a kryła się za nim taka oto myśl: Jest słodsza i o niebo lepsza niż wszystkie cukrowe waty razem wzięte.

- Aha, Steven. Czyli jeśli to kiedyś się powtórzy...

Miał nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie, bo jego ciało już domagało się czegoś znacznie więcej niż tylko buziaków.

- Następnym razem ani chwili się nie zastanawiaj - mruknął. - Od razu wal w żołądek. Nie żebym planował następny raz.

- Jasne. To tylko tak na wszelki wypadek.

Nie prostował.

Jackie zagryzła usta.

To dlatego, że... że mnie zaskoczyłeś. Rzadko się całuję, byłam rozproszona. Obiecuję, że następnym razem przyłożę ci z całej siły.

Liczę na to.

Jackie poszła do siebie, a on nie mógł opędzić się od myśli, że kilka ciosów to niewielka cena za ponowne zakosztowanie tych różowych ust.

Obudziła się rano i od razu przesunęła palcami po wargach.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że Steven ją pocałował. Dlaczego to zrobił?

Czy to miała być kara za to, że na siłę wcisnęła się do jego domu? Chyba nie, zwłaszcza że spodziewał się jej zdecydowanego oporu. Może chciał ją przetestować? Oby tylko nie domyślił się, jak mocno podziałał na nią ten pocałunek. Nie wiele brakowało, by zarzuciła mu ręce na szyję, wtuliła się w niego mocno...

Jeśli się domyśla... Wystarczy, że ona to wie. Lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Powiedział, że to się więcej nie powtórzy, a ona zagroziła, że nie zawaha się go uderzyć. Sprawę należy uznać za zamkniętą.

Poza tym to stało się w środku nocy, gdy wszystkie proporcje są zaburzone. W dziennym świetle rzeczy wyglądają inaczej. A Jackie miała swój cel. Musiała nawiązać kontakt z Suzy i dopnie tego. Nie zabraknie jej spokoju i cierpliwości.

Umyła się i ubrała. Zdziwiła się, widząc swoje odbicie w lustrze. Zaróżowione policzki, lśniące oczy. Dawno nie była taka ożywiona. Wyglądała inaczej niż zwykle. Może zbyt długo była na słońcu, opaliła się...

Gdy zeszła do kuchni, Steven siedział przy śniadaniu.

Zamrugła na jego widok, popatrzyła na zegarek.

Myślałam, że ranczerzy wstają skoro świt.

Sporo już zrobiłem - odparł. - Po śniadaniu wracam do moich zajęć.

Aha, to dobrze. - Uśmiechnęła się z przymusem. Niech sobie nie myśli, że chciałaby go zatrzymać. Niech nie wyobraża sobie, że liczy na powtórkę wczorajszego pocałunku.

Widzę, że to ci pasuje. - Spochmurniał nieco.

- Hm, no tak. Mam swoje plany.

Przestał jeść.

- Jakie plany?

Chcę przekonać Suzy do siebie. Na pewno mi się uda. Ty idź do swoich...

Zająć - odpowiedział, wstając.

Wyprostował się, pod skórą zagrały mu mięśnie. Starła się nie zwracać na to uwagi, ale daremnie.

- Miłego dnia. Suzy jeszcze się nie obudziła, ale pani Lerner już jest. Dotrzyma ci towarzystwa. - Włożył bejsbo-łówkę i wyszedł.

Jej uśmiech zgasł. Miała dziwne wrażenie, że wraz ze Steve-nem odeszło słońce.

Do kuchni weszła pani Lerner. Miała kwaśną minę.



- Proszę nie liczyć, że będę skakać kolo pani. Trzeba posprzątać po śniadaniu, póki jedzenie nie zaschło na talerzach. Tylko proszę cicho, żeby nie obudzić dziecka - syknęła. - Pan Rollins tego by sobie nie życzył. Nie lubi, gdy ktoś sprawia jakieś problemy. Powinna pani to wiedzieć. Na pani miejscu szybko bym się stąd zabrała.

Jackie popatrzyła na nieprzyjaźnie nastawioną opiekunkę. No to pięknie, kolejna osoba, która jej tutaj nie chce. Zapowiada się niezły dzień.

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Będę się trzymać z dala od domu, to jedyny sposób, zdecydował Steven. Co go napadło, że wczoraj ją pocałował? Czy w ogóle nie myślał? I czemu nie może odepchnąć od siebie tych wspomnień? Wciąż ma ją przed oczami, w tym niebieskim szlafroczku, ze spletanymi włosami.

Wszystko przez to, że siedzi na ranczu i wie dzie życie samotnika. Powinien wybrać się wieczorem do Mirandy, to by mu pomogło.

Pomysł dobry, ale raczej nie zrobi tego. Ma w domu gości, niegrzecznie byłoby się ulotnić. Wytrzyma jakoś te dwa tygodnie. Miną szybko, ani się obejrzy i wróci do poprzedniego życia.

Tak jak Jackie do swego. W ośrodku pewnie już czeka na nią stęskniony kochaś.

Z całej siły walnął młotkiem w kołek ogrodzenia.

Może chcesz pogadać? - Ben popatrzył na niego znacząco.

Pogadać?

Wbijasz ten pał z taką zawziętością, że aż huczy.

Chcę, żeby się dobrze trzymał - burknął, poklepując kołek.

Trzyma się. A ty się wściekasz, bo ta śliczna kobitka wkrada się w łaski twojej córki.

Uważasz, że jest śliczna?

Człowieku, z takimi oczami każdego faceta owinie sobie wokół palca. Ja się tym nie przejmuję, ale co ty z tym zrobisz?

Steven zmierzył przyjaciela chmurnym spojrzeniem.

Nic. Takie rzeczy już nie dla mnie. Kto jak kto, ale ty to wiesz. Pamiętasz, jak wyglądało moje małżeństwo.

Co z tego, że Michelle była stąd, skoro nie nadawała się na ranczo?

Sam widzisz. Poza tym ja już nie liczę na wiele.

Cóż, rozumiem cię. Przez kontuzję musiałeś zrezygnować z kariery piłkarskiej, potem twoje małżeństwo zaczęło się sypać, a gdy już wyglądało, że razem z Michelle wychodzicie na prostą, straciłeś ją...

Ben, daj spokój. Nie chcę znów się nad sobą użalać. Mam Suzy, jakoś się ułożyło i o nic więcej nie proszę. Niczego więcej nie chcę.

Ben roześmiał się.

Chcesz więcej, tylko boisz się po to sięgnąć.

Akurat. Może ta dama i ma piękne niebieskie oczęta, ale popatrz na to obiektywnie. Nic nas nie łączy, może odrobina żaru i masa niechęci. To czysty przypadek, że się tutaj znalazła. Ucieszę się, kiedy wreszcie stąd zniknie.

Czyli nie rusza cię, że Charlotte z pewnością da jej nieźle popalić.

Steven zaczął wbijać następny słupek.

O co ci chodzi? Charlotte jest trochę nieufna, ale wspaniale opiekuje się Suzy.

Nie przeczę. Poza tym czuje się tutaj gospodynią. Bardzo wątpię, by bez oporu chciała dzielić się dzieckiem, domem i swoją pozycją.

Charlotte pracuje dla mnie. - Steven machnął niecierpliwie ręką. - Nic takiego nie robi.  
Twój dom i twoja córka to jej cały świat. Jeśli pojawi się inna kobieta, ten świat może lec w gruzach.  
Tak się na pewno nie stanie.  
Możliwe, ale Charlotte o tym nie wie.  
Steven zadumał się. Może rzeczywiście nie powinien był zostawiać Jackie sam na sam z Charlotte?  
Hm, to może zrobimy sobie małą przerwę i wpadniemy do domu na lunch? - zaproponował.  
Miałbym się w to łądownać? Na pewno mnie nie namówisz.  
Idź sam. Pójdę do chłopaków. Hoagie ma nam opowiedzieć o swojej wizycie w mieście i wyjaśnić, czemu miał bieliznę włożoną tył na przód. Od dwóch tygodni próbujemy to z niego wyciągnąć.  
Steven uśmiechnął się. Nie zatrudniał wielu pracowników, niektórzy często się zmieniali, lecz Ben był na ranchu od zawsze. Młodego Hoagiego traktował jak syna, świetnie się rozumieli.  
Odetchnął lżej, gdy wszedł do domu i ujrzał Jackie. Siedziała z głową pochyloną nad papierami. Po rozmowie z Benem bał się, że Charlotte rzeczywiście ją sterroryzuje.  
- Jak tobie i Suzy minął poranek? - zapytał. - Przyjemnie?  
Popatrzyła na niego czujnie.  
Suzy teraz śpi. Nie wiedziałam, że maleńkie dzieci potrzebują tak dużo snu.  
Są delikatne i zabawa bardzo je wyczerpuje. Gdy Suzy nie śpi, ani przez chwilę nie ustoi w miejscu, ciągle coś robi.  
Jackie roześmiała się.  
- Raz na moment uśmiechnęła się do mnie. I wcale

nie płakała. - Powiedziała to takim tonem, jakby wygrała główny los na loterii. Rozumiał ją doskonale. Chwile, gdy mała śmiała się do niego, były jednymi z najszcześniejszych w życiu.

Czyli... spędziłaś z nią trochę czasu?

Kilka minut. Dzieci mają ustalony rytm, nie można go zaburzać. To je rozprasza, wytrąca z równowagi.

Uzmysłowił sobie, że cytuje słowa opiekunki.

Zapewne tak, ale nie należy przesadzać. Trochę odmiany na pewno jej nie zaszkodzi.

Nie wiem. Dzieci są takie delikatne i kruche, tyle im grozi...

Nie mniej kruche i bezradne jak ty, przemknęło mu przez myśl. Opanował się. Jackie chce uchodzić za niezależną i silną, nie powinien wytykać jej słabości.

- Widzę, że masz swoje zajęcia. - Wskazał głową papiery. - Praca?

Wzruszyła ramionami. Na jej policzku dostrzegł smugę kurzu. Rozczulił go ten widok. Pochylił się i starł ją kciukiem. Jej skóra była ciepła i jedwabista.

Jackie podniosła na niego pytający wzrok. Widział pulsujące na szyi tętno. Kusiło go, by musnąć ustami to miejsce.

Odetchnęła głęboko, popatrzyła na swoje dłonie złożone na kolanach. Dotarło do niego, że pewnie zastanawia się, czy nie powinna go uderzyć.

Nie mógł stłumić uśmiechu.

- Raczej powinnaś, ale okazja minęła. - Cofnął się o krok.

Gdy milczała, dodał: - Miałaś kurz na policzku.

Przesunęła palcami po miejscu, które przed chwilą dotknął.

- No bo ja i Charlotte... w takim domu jest bardzo dużo pracy.

Zmarszczył czoło.

Wzięłaś się do prac domowych? Przecież nie jesteś moim pracownikiem.

Nie, jestem intruzem.

-Jesteś... - Próbował znaleźć odpowiednie określenie, lecz żadne nie pasowało. - Jesteś tu gościem. Popatrzyła na niego przeciągle.

Jeśli nawet, to nieproszonym, ale nie mam żadnych pretensji. Wdarłam się pod twój dach i wcale tego nie żałuję. Nie oczekuję, że będziesz mnie rozpieszczał. Nie czuję się gościem.

Chcę przez te dwa tygodnie być z Suzy, stać się częścią jej życia. Tylko po to tu jestem. - Odebrał te słowa jak ostrzeżenie. Nie życzyła sobie, by się do niej zbliżał.

Proszę bardzo, rób jak uważasz. Tylko nie czuj się do niczego zobowiązana, bo ja niczego od ciebie nie wymagam i niczego nie oczekuję.

Skinęła głową, lecz nie miał pewności, czy kiedyś nie zastanie jej, jak na kolanach szoruje podłogę. Na tę myśl zrobiło mu się gorąco.

Co się z nim dzieje? Naprawdę musi częściej wyjeżdżać z domu.

- Chodźmy, słyszę, że Suzy się budzi.

- Słyszysz takie rzeczy?

Roześmiał się pogodnie.

Ojcostwo wyostrza zmysły. Czasami wydaje mi się, że słyszę jej płacz, choć jestem daleko od domu. Na szczęście wiem, że jest przy niej niania.

Jestem pod wrażeniem.

To nic wyjątkowego. Odkrywasz to w sobie, gdy przy-

wozisz noworodka ze szpitala. Tak bardzo się o nią bałem, że po nocach prawie nie spałem, tylko wsłuchiwałem się, czy oddycha. Większość matek reaguje w taki sposób, również niektórzy ojcowie, ale w przypadku Suzy sytuacja jest nieco inna.

Musiałeś być dla niej i matką, i ojcem.

Nie uskarżam się. Z przyjemnością się nią opiekuję.

Ona cię uwielbia. Wzruszył ramionami.

Malutkie dzieci już takie są, łatwo je oczarować.

Ból, jaki odmalował się w jej oczach, uświadomił mi, że dla niej nie było to takie proste.

- Chodźmy, zobaczymy, jak się budzi. - Poprowadził Jackie do pokoiku Suzy.

Charlotte już tam była.

Zajmiemy się nią, Charlotte. Odpocznij sobie trochę.

Nie muszę odpoczywać, Steven. Nie płacisz mi za nic nierobienie. - Znacząco popatrzyła na Jackie.

Nie płacę ci też za obrażanie moich gości - rzekł spokojnie, ignorując uciszający gest Jackie.

Lubię być użyteczna - pośpiesznie powiedziała Jackie, zwracając się bardziej do niani niż do Stevena. - Chciałabym mieć również możliwość pomocy przy opiece nad Suzy. Będę tu tylko przez dwa krótkie tygodnie i zdaję sobie sprawę, że moja wiedza na ten temat jest bardzo mizerna. Cieszę się, że mogę wykazać się przy pracach domowych, bo dzięki temu bardziej się wciągamy w tutejszy rytm. I będę głęboko wdzięczna za wszelkie uwagi i wskazówki związane z opieką nad Suzy.

Charlotte zamrugała, wyraźnie zbита z tropu. Steven patrzył na Jackie z uwagą. Doskonale potrafi radzić sobie

z ludźmi. Powinien był się tego domyślić. Musi być w tym dobra, inaczej by nie odniosła sukcesu w biznesie. Charlotte skinęła głową i wyszła z pokoju.

Nie powinienes tak do niej mówić - odezwała się Jackie. -

Wyszło na to, że skarżyłam się na nią.

Przecież nie powiedziałaś o niej złego słowa.

Ale ona tego nie wie i z pewnością poczuła się upokorzona, że upominasz ją w mojej obecności. Patrzy na ciebie jak w obrazek.

Steven potarł ręką kark. . - Wiem. Tylko nie mam pojęcia dlaczego.

Traktuje cię jak syna.

No co ty! - Taki pomysł nigdy nie przyszedł mu do głowy.

Charlotte była po sześćdziesiątce, nie miała rodziny.

Wcale nie żartuję. Nie znam jej, ale na jej miejscu pewnie przeżywałabym to podobnie. Gdy mówi o tobie i Suzy, w jej głosie słyhać prawdziwą dumę... Musiało jej być bardzo przykro, że skrytykowałaś ją przy obcej osobie.

Steven przeciągnął palcami po czuprynie.

- Nie pomyślałem o tym. Z drugiej strony nie mogę pozwolić, by źle traktowała mojego gościa. Nie chciałem jej dotknąć.

Postaram się jakoś to załagodzić. Zawsze taka jesteś?

-Jaka?

- Przenikliwa.

Wzruszyła ramionami, zarumieniła się lekko.

- Nauczyłam się obserwować ludzi, gdy byłam mała. To stało się moim hobby. Trudno się z tego wyzwolić. To jak, mogę zobaczyć nasze małeństwo?

Zapadła grobowa cisza. Steven przeszywał Jackie wzrokiem, patrzył na rumieniec wpływający na jej policzki.



Milczała. Czuła, że nawet gdyby próbowała przeproszać, nic by to nie zmieniło.

Czy naprawdę powiedziała „nasze” maleństwo?

Zrewidował swoje poglądy na jej temat. Chciała uchodzić za delikatną, wrażliwą, kruchą - a to tylko był sprytny podstęp, na który już prawie dał się nabrać.

Zręcznie podeszła nawet zdystansowaną i nieufną Charlotte, jego też już sobie dobrze urobiła.

Nie do końca. Wie, że nie może jej ufać. Mało się naczytał historii o ludziach, którzy kradną dzieci? Żyją sobie uczciwie, nie robią nic złego, lecz rozpaczliwie pragną potomka... Czy Jackie należy do takich? Nie wiedział, lecz nie zamierzał ryzykować. Suzy to jego ukochana córeczka, całe jego życie. Odpowiada za nią, za jej bezpieczeństwo. Będzie ją chronił przed najmniejszym zagrożeniem, przed niczym się nie cofnie.

Nie wie, czy Jackie jej zagraża. Nie wie tego, a jednak ta kobieta jest w jego domu. I będzie tu jeszcze przez prawie dwa tygodnie.

Co zrobić, by się jej pozbyć?

Przez całą noc wracała myślami do tego nieszczęsnego zdarzenia, daremnie starając się zrozumieć, dlaczego wyrwało się jej to niepotrzebne słowo.

Pewnie dlatego, że była kłębkiem nerwów, a tylko Suzy nie widziała w niej podstępного złoicy. Charlotte traktowała ją wrogo, bo uznała, że zagraża jej pozycji, a Steven?

Nie chciała o nim myśleć. Było w nim tyle sprzeczności. Z jednej strony nie chciał jej tutaj, z drugiej zachowywał się

w stosunku do niej jak dżentelmen. Dlatego wciąż zapomniała, że stoją po przeciwnych stronach barykady. - Chciała, by się do niej uśmiechał, by ją polubił.

I to był błąd. Przez lata starała się zyskać sobie przychyłność innych, szczególnie rodziców, potem Garreta. Nauczyła się cenić sobie samotność i bezinteresowną przyjaźń. Miała przyjaciół, którzy nie oczekiwali od niej fajerwerków.

Ale nie o wszystkich warto zabiegać.

Dlaczego więc serce zaczynało bić przyśpieszonym rytmem, ilekroć Steven na nią spojrział? Dlaczego z trudem powstrzymała łzy, gdy upierał się, że Charlotte niewłaściwie się do niej odnosiła?

Jesteś idiotką, wypominała sobie w duchu. Dałaś się oczarować przystojnemu facetowi, który wie, jak omotać kobietę.

Musi się opamiętać. Przyjechała tutaj dla Suzy, wyłącznie dla niej. Nie będzie przeproszać, że nazwała ją swoją. Suzy nigdy nie będzie jej, ale choć przez ten krótki czas może się łudzić.

A Steven... niech sobie myśli, co chce, a ona nie będzie zwracać sobie nim głowy.

Przez mgnienie pożałowała, że jej nie pocałował, bo wtedy poszłaby za jego radą i wymierzyła mu siarczysty policzek, choć dotąd nikogo jeszcze nie uderzyła.

Szkoda, że mnie nie pocałował, pomyślała znowu.

I pewnie dlatego te kolejne dni będą bardzo frustrujące.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nazajutrz mieli sporo roboty na ranczu, co mu odpowiadało, bo nie chciał zastanawiać się nad wczorajszymi zdarzeniami. Nie chciał, lecz mimowolnie wciąż wracał do nich myślami. Zaszokowała go wczoraj, zbiła z nóg. Wprawdzie nic nie powiedział i poszedł z nią do pokoju Suzy, jednak atmosfera między nim a Jackie była bardzo napięta. Cały aż się gotował, ona zaś nie przejawiała najmniejszej skruchy.

Podczas kolacji obserwował, jak Charlotte karmi dziewczynkę. Ku jego zdumieniu w pewnej chwili opiekunka popatrzyła na Jackie i podała jej łyżeczkę.

-Może chce pani ją pokarmić? - zaproponowała.

Spiął się w środku, ale zachował kamienną twarz. Milczał. Jackie spojrzała na niego, lecz on nadal się nie odzywał. Wolał nie dawać jej żadnych argumentów przeciwko sobie. Nie będzie ryzykować, że w sądzie oskarży go o utrudnianie kontaktów z dzieckiem. Nie będzie przeskadzać, lecz nie spuści jej z oczu.

Jackie opuściła wzrok, rzęsy rzuciły cień na blade policzki.

-Ja... bardzo chętnie - powiedziała do niani. – Tylko niech mi pani pokaże, jak to robić. Gdy pani ją karmi, wydaje się to takie proste.

Charlotte rosła z dumy.

-To nic trudnego. Trzeba wsunąć jej łyżeczkę do buzi, to wszystko. Ona już sobie dalej poradzi. Nawet mężczyzna sobie z tym poradzi. - Przeniosła wzrok na Stevena.

- Może pan zademonstruje?

Jackie patrzyła na niego z przejęciem. Serce zabiło mu szybciej, co tylko dodatkowo go rozgniewało. Najchętniej by odmówił, lecz Suzy była głodna, poza tym nie chciał prowokować głupiej sceny.

Podsunał sobie córeczkę, popatrzył na nią.

- Cześć, Pimpusiu. Zjesz trochę groszku?

Suzy cmoknęła zabawnie. Steven nabrał na łyżkę niewielką porcję i podsunał ją dziecku. Mała otworzyła buzię i grzecznie przełknęła jedzenie.

- Dobra dziewczynka - pochwalił ją Steven.

Suzy rozpromieniła się.

Przeniósł spojrzenie na Jackie. Wpatrywała się w nich z taką żarliwością, jakby przed chwilą na jej oczach wykonał magiczną sztuczkę. Przez mgnienie zastanawiał się, że może jednak ocenił ją niesprawiedliwie.

- Jaka on jest cudowna - rzekła Jackie. - Jesteś szczęśliwy, że ją masz.

Suzy była jego szczęściem, to prawda, jednak nie podobał mu się ton Jackie. Jakby mu zazdrościła.

Zamierzał dotrzymać umowy. Nie chciał też dawać jej argumentów przeciwko sobie. Podał jej łyżkę, a Jackie podsunęła się nieco, by ją od niego wziąć. Owionął go lekki zapach jej perfum. Konwaliowy, kobiecy i słodki.

Uważnie lustrował ją wzrokiem.

Jackie podejrzliwie popatrzyła na łyżeczkę, nabrała odrobinę groszku.

Więcej - prychnęła Charlotte. - W takim tempie karmienie potrwa całą noc.

Nie mam nic przeciwko - odparła Jackie. - Mogłabym ją karmić godzinami. - Podsunęła dziecku jedzenie.

Suzy zaśmiała się głośno, machnęła rączką. Groszek poszybował na Jackie.

Steven zareagował instynktownie. Chwycił serwetkę i zaczął ścierać papkę z białej bluzki Jackie. Nagle uzmysłowił sobie, co najlepszego robi. Czuł ciepło jej skóry. Jackie głośno wciągnęła powietrze.

Odłożył serwetkę.

-Przepraszam - wymamrotał. Zdażył jeszcze pochwycić zatrwożony wyraz jej oczu. Wstał od stołu i wyszedł.

Zatrzymał się w przedpokoju i nasłuchiwał. Przez kilka minut w jadalni panowała cisza, dopiero po chwili dobiegł go cichy głos Jackie czule przemawiającej do dziecka. Suzy odpowiedziała wesołym gaworzeniem.

Próbuje oczarować jego dziecko. Sam jej na to pozwolił, i to tylko dlatego, że boi się własnej reakcji na tę kobietę.

Nabrał powietrza, wszedł do jadalni. I z miejsca wstrzymał oddech. Bo to, co zobaczył, zamuroowało go. Jackie trzymała Suzy na rękach, a mała, opierając główkę na jej ramieniu, bawiła się jej włosami.

Jackie pocałowała wywijającą w powietrzu rączkę dziecka. Widział, że na mgnienie przymknęła oczy, a na jej twarzy odmalował się ból. Potrząsnęła głową.

Gdy otworzyła oczy, napotkała jego spojrzenie. Na szyi Jackie pojawił się lekki rumieniec.

- Dla mnie to... coś nowego. Ty już dawno się z tym oswoiłeś.

Powoli pokręcił głową.

- To mi nigdy nie spowszednieje.

W tym momencie Suzy zauważyła go. Zapiszczała i wyciągnęła do niego rączki.

Przytulił ją do piersi. W oczach Jackie widział skrywaną tęsknotę i ból. Wrywała się do jego dziecka, marzyła o nim.

Przeklinał w duchu osobę, która odkryła pomyłkę dokonaną w szpitalu. Gdyby o tym nie wiedział - gdyby ona nie wiedziała - nigdy by się nie znaleźli w takiej sytuacji.

Chciał ją pocieszyć, pragnął jej - a jednocześnie nienawidził sam siebie za te pragnienia.

Oby tylko zakończyli te dwa tygodnie w miarę bezproblemowo.

- Pójdę położyć ją do łóżka - rzekł.

Przez chwilę bał się, że Jackie zechce mu towarzyszyć, lecz tylko skinęła głową i zagryzła usta.

To jest trudniejsze, niż myślałam - powiedziała po chwili.

Żebyś wiedziała. - Odwrócił się i odszedł, tłumiąc w sobie pokusę, by wrócić i ją pocieszyć.

Rano wyszedł z domu skoro świt z głębokim postanowieniem, że wróci dopiero późnym wieczorem. Pracownicy poszli na południowy posiłek, a on nadal pracował. Chciał w ten sposób rozładować gniew, uspokoić skołatane nerwy i uciszyć niepotrzebne pragnienia.

- Wiesz, ta Jackie pysznie gotuje. Lasagne po prostu palce lizać - pochwalił Ben, gdy dołączył do Stevena po lunchu. - Szkoda, że nie spróbowałeś, bo pewnie już nic nie zostało. Steven mruknął coś do siebie.

- Kobitka ma podejście. Zjednała sobie nawet Charlotte, skoro pozwoliła jej stanąć przy kuchni. I zostawiła jej Suzy pod opieką.

Ogarnął go niepokój.

- Gdy sama sprzątała, to chcesz powiedzieć?

Ben spochmurniał, zmarszczył czoło.

- Chłopie, co z tobą? Charlotte musi od czasu do czasu wyjść z domu. Zwykle zabiera z sobą Suzy, ale to dla niej utrudnienie. Korzysta z okazji, że może sama wyjść i nie martwić się o małą.

Do niepokoju dołączyły się lęk i gniew.

Czy to znaczy, że Charlotte zostawiła Suzy samą w domu?

Co z tobą? - Ben pokręcił głową. - Przecież dobrze wiesz, że nigdy by tego nie zrobiła. Już mówiłem, Suzy jest z Jackie.

Co wychodziło na to samo.

Steven zaklął pod nosem. Rzucił trzymane narzędzie, pognął do samochodu, wskoczył do środka i zapalił silnik.

- Do diabła, co ty wyrabiasz? - zawołał za nim Ben. - Przecież jesteśmy w połowie roboty.

Steven zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- Przypomniałem sobie, że mam coś pilnego do załatwienia. Niedługo wrócę.

Nieważny sąd, nieważne ewentualne problemy. Być może popełnia poważny błąd, lecz miarka się przebrała. Jackie mu się podoba, ba, pocałował ją, ale to nic nie znaczy. Jest sam, bez kobiety, dlatego czasem działa nierozważnie.

Ale Suzy... Suzy jest dla niego wszystkim, po prostu całym światem. Jeśli stało się jej coś złego, jeśli ktoś próbuje mu ją odebrać, wykraść...

Wiele w życiu stracił, ale dziecka będzie bronił do ostatniego tchu. Nie chciał nawet myśleć, że mogło ją spotkać coś złego. Jechał jak w gorączce, pełnym gazem, nie zważając na wyboje. Tak gwałtownie zahamował na podjeździe, że aż posypał się żwir.

Wyskoczył z auta, wbiegł na werandę, niemal wyrwał drzwi z zawiasów.

Suzy! - zakrzyknął od progu, zdjęty lękiem. - Suzy! - Ciężkie buty załomotały po podłodze salonu.

Ona śpi - dobiegł go z kuchni miękki głos Jackie. - W każdym razie przed chwilą spała.

Mógł wziąć jej słowa za dobrą monetę, jednak nie zrobił tego. Nieco tylko zwalniając, by nie robić hałasu, poszedł do dzieciennego pokoju, pchnął drzwi i zajrzał do środka. Mała spała smacznie, w ciszy słychać było jej spokojny, równy oddech.

Znieruchomiał, chłonąc ten obraz wzrokiem. Napięte nerwy puściły. Na miękkich nogach poszedł do kuchni, opadł na krzesło. Oparł głowę na rękach. Nic nie przerywało wibrującej ciszy.

Po dobrych kilku minutach uniósł głowę. I wtedy dotarło do niego, co najlepszego zrobił.

Lodowate palce odmówiły jej posłuszeństwa, serce w niej zamarło. Nieraz przeżyła w życiu ciężkie chwile, była nierozumiana, odrzucana, wyszydzana, lecz dotąd nikt nie zarzucił jej zbrodniczego podstępного działania, nikt jej nie zarzucił, że z premedytacją chce kogoś skrzywdzić. Skrzywdzić dziecko...

Powtarzała sobie w duchu, że przecież Steven o nic jej



nie oskarżył, lecz wiedziała, że prawda jest inna. Wpadł do domu jak burza, bo był przekonany, że Suzy stało się coś złego. Albo że ją porwała.

Niby po części rozumiała jego gwałtowną reakcję. Jest ojcem, kocha swe dziecko. Suzy ją też już zawojowała; marzyła, by mieć taką kruszynę.

Oddychała głęboko, powoli, próbując się uspokoić. Musi się skoncentrować, zapanować nad rozdygotanymi rękami. Zająć się tym, co robiła przed przyjściem Stevena.

Nie odrywając oczu od drutów, starała się złapać spuszczone oczko, potem nabrać następne.

Drut nie wcelował w pętelkę. Oczko spadło.

Gorące łzy zapiekły ją pod powiekami.

Zamrugła, zagryzła wargę i wbiła wzrok w robótkę. Mocniej zacisnęła palce na drutach. Powinna coś zrobić, lecz nie mogła przypomnieć sobie, co. Daremnie próbowała się pozbierać.

Nagle duża, ciepła dłoń ujęła jej rękę. Jackie podniosła głowę i przez łzy ujrzała Stevena.

Przez mgnienie była pewna, że zaraz zacznie ją przeproszać.

Wzdrygnęła się na tę myśl. Tylko nie to!

- Co robisz? - zapytał łagodnie, ujmując jej dłoń.

Robótką upadła jej na kolana.

Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Ja... mam książkę o robieniu na drutach. Chcę się nauczyć, żeby zrobić coś dla Suzy... Ode mnie dla niej... To miał być kocyk.

Popatrzyli na bladożółtą robótkę. Oczka były nieregularne, robione niewprawnie.

- Świetny pomysł. - Głos mu się łamał.

Chciała na niego popatrzeć i bała się to zrobić.

Słabo mi idzie. Marnie wygląda.

Nie wygląd się liczy, a serce. To, że o niej myślałaś. Jackie, ja...

Nic nie mów - przerwała mu. - Proszę, ani słowa. Nic mi nie tłumacz. Wiem, dlaczego tu przyszedłeś.

Pomyliłem się.

Jesteś jej ojcem.

Ujął ją pod brodę i delikatnie unióśł podbródek, by popatrzyła na niego.

- Nie miałem racji. Powinienem był wiedzieć, że nie zrobisz jej krzywdy.

Jackie pokręciła głową.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Wygiął leciutko usta.

- Po pierwsze zebrałem informacje na twój temat, o czym wiesz. Po naszym spotkaniu jeszcze je uściśliłem. Jesteś czysta jak łąza. Próbowwała się uśmiechnąć, ale wtedy Steven pogładził ją po policzku i wszystkie myśli Jackie uleciały w dal. Widziałem, jak na nią patrzysz - ciągnął. - To dlatego zacząłem się niepokoić.

Dlaczego? - wyszeptała.

Bo patrzysz na nią tak, jakby była dla ciebie najważniejsza na świecie.

Spojrzała mu prosto w oczu. Przenikał ją wzrokiem aż do głębi.

- Chcę mieć dziecko, Steven. Wcześniej nigdy nie myślałam o tym na poważnie, lecz teraz... Teraz tak czuję. Ale...

- Urwała, lecz on czekał, co powie dalej. - Nigdy bym jej nie skrzywdziła, a zabierając ją od ciebie, wyrządziłabym jej ogromną krzywdę. Tobie też bym tego nie mogła zrobić.

Kochasz ją, przecież widzę. I nawet nie wiesz, jak głęboko mnie to porusza.

- Jackie, ojciec...

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach, co było błędem, bo przypomniało jej tamten pocałunek. Jednak nie chciała, by mówił o powinnościach ojcowskich. Są różni ojcowie, przekonała się o tym na własnej skórze.

- Twój stosunek do niej jest wyjątkowy - zaczęła, starannie dobierając słowa. - Uwierz mi, że tak jest. - Nie chciała odsłaniać się więcej. - Doceniam to. I zapamiętaj sobie, Steven, choć zazdroszczę ci córki, nigdy nie wystąpię przeciwko tobie.

Znajdziesz swego mężczyznę. Będziesz mieć dziecko - rzekł zmienionym, szorstkim głosem.

Nie wiem, czy chcę mieć męża.

No to będziesz mieć dziecko w inny sposób. Przez chwilę patrzyła na niego uważnie.

Być może, ale nigdy nie zapomnę Suzy.

Ujął jej dłoń, ucałował. Jackie zadrżała, ledwie się powstrzymała, by nie wtulić się w jego pierś.

Dziękuję - powiedział.

Za co?

Za to, że tak ci na niej zależy.

Mogłoby być inaczej?

- W takim razie dziękuję, że nie nalegasz na dłużej niż dwa tygodnie.

Przełknęła ślinę, skinęła głową.

To by było zbyt trudne... dla nas obojga. Ale... mam jeszcze dwanaście dni. - Zmusiła się do uśmiechu.

W takim razie wykorzystaj je do maksimum.

Staram się.

- Ułatwię ci to.

-Jak?

Podniósł się i pociągnął ją za sobą.

Jeśli chcesz lepiej zrozumieć życie Suzy, powinnaś poznać ranczo, zobaczyć, jak tu jest. Wtedy łatwiej będzie ci wyobrazić sobie, jak ona tutaj dorasta. Jutro zabiorę cię na wycieczkę, pokażę Rollins Acres.

Dzięki, z przyjemnością. Chciałabym zebrać jak najwięcej wspomnień, zapamiętać, co tylko się da.

No to postanowione.

Jego głęboki głos budził w niej najdziwniejsze myśli. Jakie wspomnienia stąd wyniesie? A jak było z nim? O czym on niegdyś marzył i z czego musiał zrezygnować? Dlaczego nie ożenił się ponownie? Jest przystojnym mężczyzną, ma w sobie...

Odepchnęła od siebie te niewczesne myśli. Nie powinna zbyt wiele spekulować na jego temat. Z pewnością niejedna do niego wzdychała, lecz z nikim się nie związała. Dlaczego?

Korciło ją, by zapytać, lecz zdusiła pokusę. Każdy ma swoje tajemnice, ona też. Nikomu nie wyzna, jak na nią podziałał dotyk jego dłoni.

Są rzeczy, na które nie mamy wpływu, pomyślała sentencjonalnie, gdy została sama i znowu zabrała się do robótki.

Zresztą po co się martwić. Jutro Steven pokaże jej ranczo.

Wybiorą się konno, a może samochodem?

Na pewno nie będzie to romantyczna przejażdżka, więc nie ma powodów, by się niepokoić i zamartwiać.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nic z tego nie będzie - zamruczała do siebie Merry.

Mówiłaś coś? - Lissa podeszła do niej bliżej.

Chodzi mi o Jackie i Stevena. Słabo to wygląda. Już przyklepali, że za parę dni Jackie na zawsze zniknie.

Może powinnaś rozejrzeć się za jakimiś innymi kandydatami na parę - podsunęła Lissa.

Daj spokój. Popatrz tylko na moje ręce. - Wysunęła przed siebie upierścienione dłonie z lekko zmienionymi, powykreścanymi pazkami.

Merry, nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli. I nie ma innego wyjścia, jak się z tym pogodzić. Może oni nie są sobie pisani. Mają za sobą złe doświadczenia, więc dmuchają za zimne. Nie zakochają się w sobie tylko dlatego, że tobie jest to na rękę.

Wiem... - Merry z rezygnacją opuściła dłonie i jęknęła.

Co się stało?

Boli mnie. To bóle związane z wiekiem, a ja mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat! Muszę coś zrobić, zacząć działać...

Ale co chcesz zrobić?

Jeszcze nie wiem. Jakoś ich zmotywować, popchnąć ku

sobie. Tak! Tego im właśnie trzeba. - Twarz jej się rozjaśniła. Lissa nic nie powiedziała. Już raz tak było i nic dobrego z tego nie wynikło...

Wieczorem, gdy była w swoim pokoju, Jackie wyjęła komórkę, by zadzwonić do Parris. Wiedziała, że powinna odezwać się do siostry, zapytać, jak rozwijają się ich sprawy. Powinna, ale nie mogła się zebrać. Nie chciała wracać do swego dawnego życia.

Dziś Suzy nastawiła buzię do pocałunku, gdy obudziła się po obiedzie. Ta chwila była dla Jackie nadzwyczajnym przeżyciem.

Potem Steven ujął jej ręce w swoje dłonie. Stało się z nią wtedy coś dziwnego, coś niezwykłego. Marzyła, by nie puścił jej rąk, marzyła, by znowu poczuć na sobie jego dotyk.

I patrzył na nią wtedy inaczej, jakby była dla niego kimś ważnym. Pochwalił jej robótkę, podkreślając, że liczy się nie perfekcja wykonania, lecz intencja i serce włożone w pracę. Westchnęła. Nie chciała wracać do firmowych problemów, lecz pobyt na ranczu wkrótce się skończy i zostanie jej tylko praca. Nie może sobie odpuścić.

Parris odebrała po piątym sygnale.

Słucham - burknęła w słuchawkę. Aż podskoczyła, słysząc jej niemiły ton.

To ja, Jackie.

Och, no tak, mogłam się domyślić. Tylko że coś słabo myślę. Dzwonię, żeby...

Jackie, to ponad moje możliwości. Nie daję rady. Musisz przyjechać.

Parris, nie mogę!

Musisz. Wszystko się wali. I co ja mam robić? - W głosie siostry brzmiał nietypowy dla niej niepokój.

Opowiedz mi, co takiego się dzieje.

Z uwagą wysłuchiwała jej żalów, spokojnie wyjaśniając, co i w jakiej kolejności należy wykonać. Parris uspokoiła się nieco, jednak jej zwykła pewność i wiara w siebie nie powróciły, a zapewnienia Jackie do niej nie przemawiały.

- Wszystko na nic - upierała się. - Nic się nie uda.

Te słowa jeszcze długo dźwięczały Jackie w uszach. Czyżby to było memento do tego, co ją czeka? Kto wie. Jest tak samo przygotowana do życia na ranczu, jak Parris do radzenia sobie w biznesie. Z drugiej strony wybiera się tylko na przejażdżkę, cóż złego może ją spotkać?

Widział, że jest podekscytowana wycieczką, ale też i podenerwowana, choć starała się ukryć niepokój. Boi się tego, co może się zdarzyć? A może to on się do tego przyczynił? Wczoraj strasznie się wygłupił, więc nic dziwnego, że Jackie czuje się niepewnie.

Od czego zaczniemy? - zapytał, pomagając jej wsiąść do terenówki.

Czy ja wiem? Nic nie wiem o ranczu poza tym, że masz krowy i byki.

Bez nich ranczo nie byłoby ranczem - odparł, tłumiąc uśmiech.

Jackie zaczerwieniła się leciutko.

- Oczywiście. Widziałam też, że masz konie.

Nadal są niezbędne, chociaż w ostatnich czasach wiele się zmieniło. Mamy terenowe samochody i ciężarówki, jednak nadal konie wykorzystuje się do wielu prac, jak niegdyś. Od dziecka mam z nimi do czynienia, nie wyobrażam sobie bez nich życia. Dla ranczera koń jest towarzyszem i partnerem. Nie jeździsz konno dla przyjemności?

Oczywiście, że tak, gdy mam wolną chwilę. Kiedyś... - Chciał powiedzieć, że kiedyś wybiorą się razem ale przecież dla nich nie ma żadnego „kiedyś”. - A ty jeździsz konno?

Nigdy nie próbowałam - rzekła z żalem. - Nawet nie miałam okazji, by zbliżyć się do konia.

W takim razie potem pokażę ci stajnię. A teraz obejrzymy najładniejsze zakątki. - Właśnie zatrzymali się nad stawem. - To jedno z moich ulubionych miejsc. Wsiądźmy. .. Zobacz, jak tu pięknie. Cień, cisza i spokój. Któregoś dnia Suzy będzie tu łowić ryby.

Jackie pochyliła się, zanurzyła rękę.

- Próbuję to sobie wyobrazić. - Zniżyła głos. - To jeszcze nieprędko się stanie. Będzie tu sobie chodzić, rzucać w wodę kamyki...

Potem pojechali na najdalszy koniec rancza. Ciągące się po horyzont ogrodzenie wyznaczało granice terenów Stevena.

Masz kilometry płotów - zauważyła Jackie.

Takie są przepisy. Wprowadzili je jeszcze w latach czterdziestych ubiegłego wieku, by było nie wychodziło na drogi.

Tak jest dla wszystkich lepiej.

Ale ile to wymaga pracy. Trzeba je przecież naprawiać i konserwować.



- To fakt, ale po prostu tak jest. Normalka.

Jackie pokręciła głową, popatrzyła na bezkresne pastwiska.

- Dla ciebie normalka, a dla mnie to inny świat. W dodatku mój obraz jest podkolorowany przez książki i filmy. Zastanawiam się, jak będzie wyglądało życie Suzy.

Sam wiele o tym rozmyślał.

Na pewno nie zabraknie jej zabaw i rozrywki. Będzie jeździć konno, ścigać się, brać udział w konkursach. Niestety pracy też jest aż nadto. Trzeba dbać o budynki, instalacje, ogrodzenia, maszyny. Uważać, by nie rozsiały się chwasty, doglądać zwierząt, karmić je... - urwał. Z pewnością już ją zanudził.

To krowy nie jedzą trawy? - Wcale nie wyglądała na znudzoną.

Owszem, jedzą, ale w zimie, nawet w naszym klimacie, trzeba podawać im karmę dostarczającą odpowiednią ilość minerałów. Mamy dobrego weterynarza, lecz to nie znaczy, że nie musimy sami na co dzień doglądać bydła. Często trzeba pomagać przy cieleniu, sprawdzać, czy jakieś zwierzę nie zachorowało, czy nie złapało pasożytów.

- Wolał nie posuwać się dalej i opowiadać jej o znakowaniu bydła czy sztucznej inseminacji. To nie są tematy dla panny z metropolii.

Ciężka praca - podsumowała Jackie. - Niby nie tak daleko od miasta, a całkiem inna rzeczywistość.

Tak tutaj żyjemy. Jeśli się tu urodzisz, po prostu taki jest twój świat.

Tak właśnie stanie się z Suzy, pomyślała. Dla niej życie na ranczu będzie czymś normalnym i oczywistym. Nagle jej twarz rozjaśniła się.

Nie opowiesz mi o czymś fajnym, na przykład o małych cielaczkach albo o kotkach urodzonych w stajni czy jagniątkach?

Nie mamy tu jagniątek - odparł ze śmiechem.

Nie? - zapytała z rozczarowaniem, a on od razu pożałował, że nie może jej zaprowadzić do małej owieczki, co mówiło samo za siebie. - Chodź - pociągnął ją. - Poszukamy czegoś fajnego.

Sam nie wiedział, czemu z taką beztruską marnuje swój cenny czas. Jego żona nie znosiła życia na ranczu, dlatego poprzysiął sobie, że już nigdy nie sprowadzi tu żadnej kobiety. Ale Jackie już się tutaj znalazła i chyba naprawdę jest... zainteresowana.

- Co takiego? - dopytywała się niecierpliwie.

Nie miał pomysłu, lecz liczył, że przy pomocy Bena znajdzie coś, co spodoba się panience z miasta.

Steven, ta mała jałówka oddaliła się od stada i wreszcie się ocielila - wysapał Hoagie, podjeżdżając do nich galopem. - Ale mamy problem. Cielak jest bardzo słaby, nie może się podnieść. Jechałem po ciężarówkę, żeby go przetransportować, ale zobaczyłem, że tu jesteś.

Jedziemy po niego - szybko zdecydował Steven. -

Oszczędzimy stresu jego mamie. Gdzie ona jest?

Hoagie wyciągnął rękę. Jackie podążyła za nią wzrokiem. W oddali dostrzegła białą-czarną krowę poszturchującą łbem leżące na ziemi cielątko.

- Jackie... - Steven popatrzył na nią przepaszająco.

- Ależ nie ma sprawy - rzekła pośpiesznie. - Jedźmy.

Krowa, mucząc żałośnie, potrzącała głową bezwładnego

cielaczka. Jackie poczuła ucisk w gardle. Dotknęła rękawa Stevena.

- Czy on przeżyje?

Popatrzył na nią badawczo, przesunął dłonią po jej policzku.

- Nie wiem, ale zrobimy, co w naszej mocy.

Hoagie zaczął tańczyć wokół krowy, próbując odwrócić jej uwagę, podczas gdy Steven podsuwał się coraz bliżej cielaczka.

Krowa zamuczała żałośnie, lecz nie ruszyła się o krok.

Jackie ścisnęło w gardle. Biedna matka nie chciała odejść od swojego dziecka. Spontanicznie podeszła do niej.

Wszystko będzie dobrze. Oni chcą pomóc - wyszeptła i położyła rękę na jej boku.

Jackie, nie! - ryknął Steven, rzucając się w jej stronę, ale było za późno. Zaskoczona krowa odwróciła się i zaczęła kopać.

Jackie nawet się nie spostrzegła, jak poleciała w błoto.

Hoagie wykorzystał moment. Chwycił cielę i pośpiesznie załadował je na ciężarówkę, natomiast Steven złapał na rękę Jackie.

Krowa zaryczała rozpaczliwie.

- Muszę przyznać, że umie pani odwrócić uwagę, pani Hammond - zaśmiał się Hoagie, wskakując na konia.

Uchylił kapelusza i odjechał.

Była obolała, ale starała się nie zwracać na to uwagi, tym bardziej że Steven z zaciętą miną patrzył na nią w wymownym milczeniu.

- Czy ty w ogóle myślisz?! - wybuchnął wreszcie. -

Zdajesz sobie sprawę, co mogło się stać? - Włączył silnik i ruszył.

Jackie zagryzła usta.

Prawdę mówiąc, chyba nie... Ale ona była taka...

Wiem! Ale niedługo dostanie swojego cielaka, za to ty mogłabyś już nie żyć! - Sapnął gniewnie.

Zapadła grobowa cisza. Chciała go przeprosić, lecz nie znajdowała odpowiednich słów. W sumie Steven miał rację.

Przecież nie ma bladego pojęcia o tych sprawach, a wyrwała się z niewczesną pomocą, jakby Steven i Ben nie wiedzieli, co robią.

-Bardzo przepraszam, niepotrzebnie się wtrącałam -wydusiła.

- Wiem, że niewiedza nie jest żadnym usprawiedliwieniem, ale naprawdę bardzo żałuję.

Zacisnął palce na kierownicy, nabrał powietrza.

W milczeniu pomógł jej wysiąść, potem razem z Benem przenieśli cielaczka do obory.

Jackie czuła się zdruzgotana. Wdarła się tutaj na siłę, a teraz niewiele brakowało, by została stratowana przez oszalałą krowę. Gdyby coś jej się stało, Steven miałby wyrzuty sumienia...

Charlotte słowem nie wspomniała o zajściu, choć z pewnością wieści już do niej dotarły. Nakarmiły Suzy i niania poszła przygotować dla małej kąpiel. Jackie została z dzieckiem.

Gdy Charlotte wróciła po małą, na werandzie rozległy się kroki Stevena.

- Jak się pośpieszysz, to zdążysz zejść mu z oczu - szepnęła Charlotte. - Steven przykładą wielką wagę do bezpieczeństwa na ranchu.

A jednak postanowiła stawić mu czoło. Nie jest tchórzem, umie sobie radzić w trudnych sytuacjach. Wina jest po jej stronie. Trudno, wysłucha go.

Wyprostowała się, nabrała powietrza.

- Czy... czy ten cielaczek przeżyje? - zapytała, rozprostowując zaciśnięte palce. Nie chciała, by widział, jak bardzo jest zdenerwowana.

To nie uszło jego uwadze.

- Przeżyje. Napoiliśmy go dużą ilością mleka, to mu po mogło. Już jest ze swoją mamą.

Jackie odetchnęła. Bała się, że przez nią coś może być nie tak.

- Och, to dobrze! Strasznie się martwiłam.

Steven na mgnienie zamknął oczy.

Jackie, to jest ranczo. Bywa różnie. Nasze zwierzęta to nie domowe pupilki.

Tak, wiem.

Zdajesz sobie sprawę, że Suzy często będzie się stykać z podobnymi problemami.

-Tak...

-Tak, ale? Spójrz prawdzie w oczy. Suzy jest moją córką. Jest dzieckiem ranczera.

Powoli skinęła głową. Dobrze rozumiała, co chciał jej powiedzieć. Suzy z wieloma rzeczami będzie musiała bardzo szybko się oswoić.

- Wiem, że wszystkiego jej nauczysz, wiem, że dobrze wprowadzisz ją w życie - odezwała się po długiej chwili.

- Bardzo ją kochasz, niczego nie zaniedbasz.

Zmierzył ją poważnym, przenikliwym spojrzeniem.

- Chcesz zobaczyć tego cielaczka? - Wyciągnął do niej rękę.

Kiwnęła głową. Podała mu dłoń, lecz to był błąd, bo gdy tylko ujął jej palce, obudziły się w niej niepotrzebne uczucia, świadomość, że on jest mężczyzną, a ona kobietą. Je-

go duża, ciepła dłoń luźno obejmowała jej drobne palce. Jackie odsuwała od siebie przepelniające ją emocje. Przecież idą tylko zobaczyć cielaczka, nic więcej. Po co się tak przejmują?

Steven pochylił się przy leżącej w boksie krowie, delikatnie pogłaskał przytulonego do niej cielaczka. Zamruczał coś do niego uspokajająco.

- Mówiłeś, że to tylko zwierzę gospodarskie.

Wzruszył ramionami.

- Natura jest fascynująca. - Pociągnął rękę Jackie w stronę cielaczka. - Jego mama już się uspokoiła, a małemu nic nie jest. Możesz go pogłaskać, nic ci nie zrobi.

Ostrożnie dotknęła mięciutkiej skóry cielaka.

Jaki cieputki - wyszeptła.

Nowe życie... Czy to nie cud?

Jej myśli poszybowały w inną stronę.

- Co czujesz, gdy pierwszy raz wzięłeś na ręce Suzy?

Popatrzył jej prosto w oczy i dopiero wtedy olśniło ją, że wraz z przyjściem na świat córki stracił żonę.

- Przepraszam. Nie odpowiadaj. Przepraszam...

To normalne pytanie. Powiem szczerze, że wtedy nie bardzo panowałem nad swoimi uczuciami. Ale później... później nie mogłem wyjść z podziwu, ile w tej małej istotce było siły i woli życia. Bezwarunkowo pokochałem ją od pierwszego spojrzenia. Chciałem ją chronić zawsze i wszędzie. Suzy straciła mamę, więc to pragnienie dodatkowo się spotęgowało.

Twoja żona... pochodziła z rancza?

- Owszem, ale nie odpowiadało jej takie życie.

Nie odpowiadało, ale nie było jej obce.

- Przepraszam cię za to, co zrobiłam.

-Już dobrze. Kierowałaś się tym, co czułaś. Więcej tego nie rób. - Pomógł jej się podnieść i ruszyli do domu. Odprowadził ją pod drzwi jej pokoju. Zajrzał Jackie głęboko w oczy. - Masz taką delikatną skórę. Nigdy jeszcze... - Zamrugał jakby zaskoczony tym, co powiedział. - Musisz uważać na słońce. -To prawda, mogę się spalić. Steven... - Na chwilę urwała. - Już nigdy więcej tak się nie zachowam - powiedziała cicho i zamknęła drzwi. Mówiła o zdarzeniu z cielakiem, a może o tym, co czuła, gdy była przy Stevenie? Sama już tego nie była pewna.

Mijając lustro, zerknęła na swoje odbicie. Była jak odmieniona: oczy jej lśniły, malowało się w nich rozmarzenie. Dziwne. Nigdy nie była marzycielką, zawsze mocno stąpała po ziemi, zawsze starała się przychylić innym nieba, wszystko wyprostować.

Cóż, taka po prostu jest. Ujęła się nawet za biedną krową. Z takimi myślami zabrała się do poczty przysłanej mailem przez Parris. Dwóch darczyńców postanowiło się wycofać z aukcji.

Sięgnęła po komórkę, połączyła się z nimi. Na szczęście dali się przekonać. Teraz pozostało jej wyjaśnić sprawę ze Stey-enem, no i przestać tak bezustannie o nim myśleć.

Czas mnie uleczyć - pocieszyła się na głos. Dzisiejsze wydarzenia pokazały, że tu nie jest jej miejsce. Teraz powinna skoncentrować się na Suzy i zapomnieć o Stevenie.

Słyszałaś? - Merry nie odrywała oczu od ekranu komórki i mruzczała do siebie. - Ona już chce stamtąd pry-

skać i na zawsze zapomnieć o Stevenie. A jeśli jej się uda? -  
Wyłączyła telefon. - Jest coraz gorzej. Nie może się jej udać,  
bo to oznacza mój koniec. Muszę sprawić, by wciąż czuła  
jego obecność, odbierała go jako mężczyznę. I wiem, jak  
tego dokonać.

RS



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy przyszedł do domu na lunch, Jackie budowała zamek z klocków, a Suzy, wygodnie rozparta na kolanach niani, uważnie ją obserwowała.

-Gotowe. - Jackie uśmiechnęła się do dziewczynki.

Charlotte puściła Suzy, która podreptała do zamku i zdecydowanym ruchem zburzyła kolorową konstrukcję. Klocki rozsypały się wokół.

Mała roześmiała się radośnie i zaklaskała.

- Och, ty mądrało! - zawołała rozbawiona Jackie, przytulając do siebie roześmianą Suzy, która stanowczo domagała się buziaka.

Potem zagulgotała i pokazała rączką na klocki.

Jeszcze raz? - uśmiechnęła się Jackie.

Ras - powiedziała mała.

- Będzie rozpuszczona jak dziadowski bicz - skrzywiła się Charlotte, lecz wcale nie wyglądała na niezadowoloną.

Dziwne, bo jeszcze niedawno bałagan bardzo ją denerwował.

- Wcale nie - z miejsca zaoponowała Jackie. - Prawda, Pimpusiu?

Obserwujący tę scenę, Steven poczuł ukłucie lęku. Jackie zwracała się do małej tym samym imieniem, co on. Desperacko starała się przystosować. Intuicja podpowia-

dała mu, że po wczorajszym zdarzeniu będzie się trzymać domu, dopóki sam nie zaproponuje jej kolejnej wycieczki. Najadł się przez nią tyle strachu. Nie chciał zanadto drażnić tego tematu.

Robisz z mojej córki pannę Demolkę?

Och, ujawniam tylko jej naturę. - Jackie roześmiała się wdzięcznie. Muzyka dla uszu Stevena. - Dziś panna Demolka, w przyszłości panna Zrób to sam. Tyle w niej energii i pomysłu. Możesz być z niej dumny. Jestem pewna, że kiedyś równie dobrze poradzi sobie z krową, bykiem czy z rozwalonym płotem.

Na razie zaczniemy od cielaczków. Takich z różowego pluszu. Chodź do mnie, Pimpusiu. Daj tacie buzi.

Dziewczynka rozpostarła ramiona i niezdarnie podreptała w stronę ojca, a jego serce przepełniły radość i miłość.

Popatrzył na Jackie; w jej oczach pojawiła się dojmująca tęsknota. Niedawno wyrwało się jej, że to ich wspólne małżeństwo.

- Świetnie sobie z nią radzisz - powiedział, oddając jej małą. Jackie przytuliła policzek do policzka Suzy.

- Ona jest kochana. Nie ma z nią żadnych problemów.

Każda kobieta by sobie z nią poradziła.

Tylko nie każda kobieta ma te same geny co Suzy. Obie mają niebieskie oczy, takie same ciemne włosy, podobny uśmiech.

- Przywieźliśmy dziś nową klaczkę - zmienił temat.

- Od Neda Battlemana. Jest delikatna, wręcz nieśmiała.

Chcecie ją zobaczyć?

Charlotte posłała mu dziwne spojrzenie.

Przez całe życie wystarczająco napatrzyłam się na konie. Idę wziąć kąpiel. - Wyszła.

Co jej się stało? Myślałam, że przepada za końmi -zdziwiła się Jackie.

Bo tak jest - z uśmiechem wyjaśnił Steven. - Charlotte spotykała się z Nedom, potem z jakiegoś powodu się pokłócili i rozstali. Założę się, że pójdzie obejrzeć klaczkę, gdy nikt nie będzie widział. To jak, idziemy?

Chętnie, ale... - Popatrzyła na senną dziewczynkę.

Położmy ją do łóżka - cicho powiedział Steven. - Wezmę elektroniczną nianię, w razie czego od razu do niej wrócimy.

Charlotte niech spokojnie się kąpie.

No dobrze, chodźmy.

Tak, to może wypalić - z nadzieją zamruczała do siebie Mer-ry, - Ludźmi nie mogę kierować, ale zwierzęta to co innego.

Spróbuję, a nuż się uda. W końcu nie mam nic do stracenia.

Wolała nie zastanawiać się za długo. Musi działać, a to, co właśnie wymyśliła, nikomu nie zaszkodzi.

Denerwowała się, ale starała się o tym nie myśleć. Nigdy wcześniej nie jeździła konno, bała się, jak sobie poradzi, jednak chciała dobrze wypaść w oczach Stevensa. Już i tak wspomniał, że jest dziewczyną z miasta. Chociaż czemu aż tak się tym przejmuje? Czemu jej zależy na jego zdaniu?

Owszem, przeraził się, gdy zaatakowała ją krowa, ujął ją swą bezgraniczną miłością do dziecka, ale też jasno powiedział, że nie ma zamiaru z nikim się wiązać.

Zagryzie zęby i stawi czoło wyzwaniu. Chce poznać

świat, w którym będzie dorastać Suzy. Włożyła buty do konnej jazdy, nasunęła na głowę czapkę i wyszła na dwór.

Steven czekał na nią na werandzie. Nie zauważyła go.

- Hej! - zawołał. - Poczekaj. Nie idziemy do stajni, klacz już czeka. - Wskazał ręką na padok.

Za ogrodzeniem płynnie poruszał się wspaniały biały koń, jego długa grzywa falowała.

Och, jaka piękna! - zachwyciła się Jackie. - Ale wiesz, że nie mam pojęcia o koniach. ,

Wcale na to nie liczyłem - odparł z uśmiechem.

Nie znam się, ale widzę, że ta klacz jest wyjątkowa. Dlaczego Ned ją sprzedał?

Jest jałowa. Nie da źrebaków.

Mimo to kupiłeś ją.

Ma bardzo łagodny charakter. Potrzebny mi taki koń. Dla Suzy.

Minie sporo czasu, nim Suzy podrośnie na tyle, że będzie mogła jej dosiąść, pomyślała Jackie. Przypuszczała, że kupił ją z myślą o niej, ale za nic by się z tym nie zdradziła. Poza tym mogła się mylić.

- Pojedźmy. Jest naprawdę spokojna. Przekonasz się do niej, zobaczysz. - Gdy weszli na padok, dodał: - Zbliżajmy się do niej powoli. Musi poczuć nasz zapach, oswoić się z nim. -

Wziął Jackie za rękę i wolno ruszył w stronę klaczy. Dotyk jego dłoni upajał ją, sprawiał, że chciała wtulić się w Stevena. Zduśiła to pragnienie. - Jackie, zobacz, ona cię obserwuje.

Jest bardzo zainteresowana.

Rzeczywiście, klacz przyglądała się jej uważnie. W pięknych oczach jaśniała inteligencja. Jackie już była pod jej urokiem.

- Jak ma na imię? - wyszeptwała.

Shiloh.

Piękne imię. Cześć, Shiloh. - Jackie zrobiła krok do przodu. Poczowała na twarzy lekki powiew wiatru, z którym niósł się cichy, niemal nieuchwytny dźwięk. Zdezorientowana popatrzyła na Stevena.

Klacz też poruszyła się niespokojnie, zastrzygła uszami.

Znowu owionął ją ten powiew.

- Co jest? - mruknął Steven, bo Shiloh zaczęła rzeć i drobić niespokojnie.

Kolejny powiew był jeszcze silniejszy, dźwięk wyraźniejszy. Shiloh zastrzygła uszami, kręciła się nerwowo. Nagle strzeliła z zada i z całej siły trąciła bokiem Stevena..

Jackie miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Słyszała głuchy odgłos uderzenia, widziała padającego na ziemię Stevena. W ostatniej chwili pochwycił ją w ramiona, chroniąc przed napierającą Shiloh i wziął na siebie cały impet uderzenia. Upadli na ziemię. Kątem oka dostrzegła, że skrzywił się z bólu. Klacz odbiegła na drugi koniec padoku. Steven błyskawicznie pochylił się nad Jackie, przesunął rękami po jej ciele.

- Nic ci się nie stało? - wyszeptał nerwowo. Gdy w pierwszej chwili nie mogła wydobyć z siebie głosu, krzyknął bliski paniki: - Jackie, odezwij się! Co ci jest? Co cię boli?

Nic jej nie bolało. To jego bliskość, jego dotyk, tak ją oszalały.

Ja... nic mi nie jest - wydusiła wreszcie. - Naprawdę.

To dobrze. - Ku jej zaskoczeniu wziął ją na ręce, wyniósł za ogrodzenie i dopiero tam postawił.

A co z tobą? - zapytała, widząc jego grymas. Gdy dotknęła jego ramienia, skrzywił się.

Chodźmy, opatrę cię.

-Jeszcze nie teraz.

-Steven...

Jackie, nie mam pojęcia, co się stało. Zaręczam, że Shiloh nigdy się tak nie zachowywała, a znam ją od dobrych kilku lat.

Wierzę ci.

Mam wyrzuty sumienia, bo zachowywałem się wobec ciebie okropnie, nie ufałem ci. Niby dlaczego miałabyś mi teraz wierzyć?

Chciałeś się tak zachowywać, ale po prostu słabo ci wychodziło.

- Chcesz powiedzieć, że jestem mięczakiem?

Jackie dotknęła jego twardego bicepsa.

Nie na zewnątrz, lecz w środku. Odrobinę. Masz dobre serce, Steven. Dlatego ci wierzę.

Hm, w sumie to niczego nie zmienia. Zależało mi, byś przekonała się do koni, uwierzyła, że to nie są przerażające i groźne istoty. Że Suzy tu nic nie grozi. Dlatego kupiłem Shiloh. Dla was.

Poczuła łzy w oczach. -Dziękuję...

Shiloh na razie odpada, a ja bardzo chciałbym, żebyś choć raz przejechała się konno. Chciałbym zrobić ci zdjęcie w siodle, dla Suzy.

Steven... - Znowu zapiekły ją łzy. Otarła oczy.

Dasz się namówić? Choć na chwilę usiądź w siodle, ze mną.

Nic ci nie zagrozi.

Czy mogła odmówić takiej prośbie?

Zawołał na Bena, by skoczył po aparat, i osiodłał konia. Blue był ogromny, znacznie większy od innych koni, ale jego oczy patrzyły na Jackie ufnie. Od razu poczuła, że jej nie zawiedzie.

Steven pomógł jej wdrapać się na siodło, po chwili usiadł za nią. Jackie starała się zachować maksymalny spokój, nie dopuścić do siebie lęku. Poczowała się pewnie, gdy Steven otoczył ją ramionami. Przez moment miała wrażenie, że odnalazła swoje miejsce na ziemi.

- Przejedziemy się trochę. - Zniżył głos do szeptu.

Jego usta były tak blisko, tuż obok jej ucha. Niewiele brakowało, by odchyliła się w tył, oparła o jego mocne ciało...

Dobrze. - Głos jej lekko drżał.

Boisz się? Powiedz, jeśli tak.

Bała się, ale nie konia. Bała się uczuć, które ją przepelniały.

Przełknęła ślinę. Steven trzymał ją mocno.

- Nie, nie boję się - odparła z przekonaniem, bo dotarło do niej, że taka cudowna chwila już nigdy więcej się nie powtórzy. - Jest wspaniale! - Roześmiała się.

Przygarnął ją jeszcze mocniej. Czowała jego ciepło.

Jesteś niesamowita. Naprawdę.

A co we mnie takiego niezwykłego? - droczyła się. Rozpierała ją wszechogarniająca radość. Cudownie było czuć dotyk jego ciała, jego bliskość.

Zjawiłem się w twoim życiu ni stąd, ni zowąd, oświadczyłem, że jesteś biologiczną matką mego dziecka, nalegałem, byś przystała na moje warunki, a zamiast tego zjawiłaś się tutaj, w zupełnie obcym ci świecie. Zjednałaś sobie Charlotte, dogadujesz się ze mną, godzisz na wszystko.

Niewiele brakowało, by stratowała cię krowa. Koń omal cię nie przygniótł, facet sponiewierał...

- I pocałował. - Sama nie wiedziała, co ją podkusiło, by to powiedzieć.

-Tak, pocałowałem... - Przytulił ją mocniej. - Czy wciąż nie możesz się z tym pogodzić? Odwróciła się w jego ramionach.

- A jeśli powiem, że mi się podobało, to pogodzisz się z tym? Nie odpowiedział od razu. Zrobiło się jej gorąco. Po co wyrwała się z tym idiotycznym pytaniem?

Steven zatrzymał konia, sięgnął jej ust. Pocałunek rozpalił ją. Zapragnęła więcej.

- Niełatwo mi się pogodzić - powiedział cicho. - Bo mnie też się podobało. Oboje wiemy, że dla nas to droga donikąd.

Zamknęła oczy. Oczywiście, że doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Są biologicznymi rodzicami Suzy i na tym powinni poprzestać. Przelotny romans tylko by skomplikował ich relacje. Steven ma swoje życie, ona swoje.

Masz rację - wydusiła przez zaciśnięte gardło.

Zróbmy to zdjęcie. Dla naszej córki.

Zamrugła gwałtownie, bo te słowa, świadczące o tym, że Steven akceptował w niej matkę swego dziecka, przejęły ją do głębi.

Ben pstryknął kilka fotek, potem Steven pomógł jej zejść z konia. Szła wolno do domu, z gorzkim przeświadczeniem, że taka chwila, ta cudowna bliskość, już nigdy się nie powtórzy.

Już nigdy - wyszeptwała do siebie, wchodząc do domu.

Co mówiłaś? - zapytała Charlotte.



- Pytałam siebie, gdzie położyłam robótkę. Chciałabym skończyć ten kocyk.

Niania popatrzyła na bladożółty zwój.

- Muszę przyznać, że łatwo nie rezygnujesz.

Nie w każdej sytuacji. Bo jednak zrezygnuje z myślenia o Stevenie, musi to zrobić. Inaczej zaczniesz o nim marzyć we dnie i w nocy. I co by z tego wynikło?

RRS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

-Nie mieści mi się w głowie, że zrobiłaś coś takiego. -  
Lissa, z rękami wspartymi na biodrach, piorunowała Merry wzrokiem.

Merry, choć wyglądała na znacznie więcej niż swoich prawie trzydzieści lat, skruszona jak dziecko zagryzła wargi.

-Wyszło zupełnie inaczej, niż planowałam.

-Steyen mógł zostać poważnie ranny, Jackie też.

-Sama nie rozumiem, dlaczego ten koń mnie nie usłuchał.

Może w tym przejawiała się jego mądrość.

Myślę, że ten koń po prostu się spłoszył. Przeze mnie. - Merry, która zwykle łatwo się irytowała, teraz była potulna jak baranek.

Na to wygląda.

Stevenowi i Jackie ta akcja nic nie pomogła, tylko wręcz przeciwnie. Jeszcze bardziej się zawzięli, by zwalczyć wzajemną fascynację.

Merry? - Lissa z niepokojem popatrzyła na swoją córkę chrzestną.

Wiem, że robi się coraz bardziej beznadziejnie - jęknęła.

Nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli. Nie zmusisz każdego, by tańczył, jak mu zagrasz.

Przecież to oczywiste. - Merry zaśmiała się z goryczą. - Tylko że...

Co takiego?

- Sama do końca nie wiem. Oni wydają się teraz bardziej nie-szczęśliwi niż wtedy, gdy się poznali - stwierdziła ze smutkiem.

Lissa szeroko otworzyła oczy. Merry po raz pierwszy okazała choć trochę troski o innych.

- Nie zawsze idzie tak, jak byśmy tego chcieli. - Lissa smętnie pokiwała głową. Minął tydzień, a Merry nie posuwała się do przodu ani o krok. A czas ucieka. Gdyby dało się cofnąć kłatwę! Niestety to niemożliwe. Zadanie musi zostać spełnione, choć nic nie wskazuje, by między Stevenem a Jackie coś jeszcze mogło się zmienić.

Z niepokojem zastanawiał się, co przyniesie najbliższych kilka godzin.

Jesteś gotowa, Pimpusiu? - Popatrzył na córeczkę, wyciągnął do niej ramiona, a mała podniosła rączki, by wziąć ją na ręce.

- Pójdziemy pobawić się z dziećmi?

Nie wiem, jak wy tam wytrzymacie - prychnęła Charlotte. -

Już sam ten jazgot może człowieka przyprawić o boi głowy.

Przecież Steven zabiera Suzy do dzieci - zdziwiła się Jackie, podnosząc głowę znad robótki. - A ty przepadasz zamaluchami.

- Nie miałam na myśli tego ich jazgotu.

Steven wybuchnął śmiechem.

- Przesadzasz, nie jest tak źle.

- Hm, no pewnie - znacząco burknęła niania. - Tylko jej tego nie rób - dodała z groźną miną.

Czego? - zapytała Jackie, odkładając robótkę.  
Wymyślił sobie, że obronisz go przed mamuškami.  
Charlotte, to nieprawda, dobrze o tym wiesz. Nie chodzę tam, by kogoś poznać, chcę tylko, by Suzy pobawiła się z dziećmi. Nie moja wina, że czasami przypadkiem coś się przytrafia.  
-Przypadkiem... - skrzywiła się Charlotte, a potem spojrzała na Jackie. - Gdy bawił się z dziećmi w Ojca Wirgiliusza, mamusie „przypadkiem” zdarły z niego koszulę!  
Wcale nie zdarły!  
No, może i tak, ale kilka guzików straciłeś.  
Masz rację, to był głupi pomysł, by prosić Jackie, żeby z nami poszła. - Spojrzał na nią. - Przepraszam, że chciałem cię wykorzystać. - Gdy drgnęła, szybko poprawił niezręczne sformułowanie: - Miałas być moją tarczą, żebym mógł w spokoju pobawić się z Suzy i innymi dziećmi. Rzadko mamy do tego okazję. Suzy jest jeszcze malutka, ale zależy mi, by nauczyła się współżyć z innymi dziećmi, zwłaszcza że nigdy nie będzie miała rodzeństwa. Przepraszam, to był głupi pomysł.  
Nie daj się zrobić - ostrzegawczo rzuciła Charlotte.  
Spokojnie! - energicznie stwierdziła Jackie. - Dam sobie radę, już nieraz próbowano mnie w coś wrabiać. Jak rozumiem, Steven nie chce stracić następnej koszuli i ma nadzieję, że obronię go przed amatorkami jego... garderoby. Tylko że nie słyszałam, by mnie ktoś zapraszał. - Sięgnęła po robótkę.  
Steven ze śmiechem przykląkł na jedno kolano i ujął Jackie za rękę.  
- Pani Hammond, czy wyświadczy pani zaszczyt i zgodzi się towarzyszyć mi do dziecięcego klubu?

Teatralnie zatrzepotała rzęsami.

Och, panie Rollins, nie wiem, czy uchodzi... ale skoro tak pięknie pan prosi, nie mam serca odmówić. - Uśmiechnęła się, odłożyła druty. - To kiedy jedziemy?

Najlepiej od razu. Mój powóz już na panią czeka.

Terenowy pikap?

Łaskawa pani zgadła.

-Damę wieźć pikapem... A gdzie połączana karoca i sześć karych rumaków?

- Staram się, jak mogę, więc już nie marudź, księżniczko.

- Właściwie wcale nie musiał się starać. Żartowanie z Jackie przychodziło mu bez najmniejszego wysiłku. Zbyt łatwo. Chyba dlatego, że tak bardzo chciał być przy niej, czuć jej bliskość, dotykać jej.

Dzisiejsza wymówka była tylko pretekstem. Żadna kobieta nie odciągnie go od zabawy z córeczką, żadnej nie potrzebuje. To ustalił sobie już dawno.

Z wyjątkiem tej jednej.

Jackie jest o wiele bardziej niebezpieczna niż mamy, które przychodzą do klubu. Przed chwilą to znowu się potwierdziło. Poprzysiągł sobie, że będzie się trzymać od niej z daleka, a sam ją usilnie namawia, by z nim poszła.

Zajęcia z maluchami odbywały się w budynku gminy. Po jednej stronie sali leżały miękkie kolorowe maty, wokół stały półki wypchane pluszakami.

Ledwie weszli do środka, Suzy zaczęła się wyrывać, pokrzykując z entuzjazmem.

- Chcesz na dół? - zapytał Steven.

-Dół - powtórzyła mała, wsuwając rączkę do buzi i patrząc na ojca szeroko otwartymi, niebieskimi oczami,

Steven ostrożnie postawił ją na podłodze. Suzy, poruszając się jeszcze niepewnie, zygzakiem ruszyła przed siebie, krzyżując radośnie.

Czas na zabawę - szeptem powiedziała Jackie, a Steven roześmiał się głośno.

Jakbyś wiedziała. Dobrze, że te dzieci jeszcze są za małe, by urządzać im przyjęcia urodzinowe.

To całkiem dobry pomysł. Powinniśmy spotykać się częściej.

- Wysoka, opalona blondynka podeszła do niego. - Miło cię widzieć, Steven. Nie było cię w zeszłym tygodniu.

Przez mgnienie jego wzrok spoczywał na Jackie.

- Byłem zajęty - odparł krótko.

Rozumiała, w czym rzecz. Nie wiedział, co powiedzieć o matce Suzy.

- No nic, ważne, że jesteś - z uśmiechem czarowała blondynka. - Z tobą od razu jest inaczej. Nie odwzajemnił uśmiechu.

To Jackie Hammond. Przyjechała do mnie w odwiedziny. .. na jakiś czas.

Och - wybąkała blondynka.

Jackie, poznaj Beverly Darvish.

Z wyuczonym uśmiechem podała jej rękę. Nieraz stykała się z nieprzyjaźnie nastawionymi ludźmi, umiała sobie radzić.

Miło panią poznać, pani Darvish.

Pani z rodziny? - zapytała Beverly, ledwie muskając jej palce. Z trudem maskowała wrogość.

-Nie, ja...

Na szczęście w tej samej chwili podeszło do nich kilka mam. Co ma im o sobie powiedzieć? Co powie o niej Steven?

- Jackie jest moim gościem - rzekł stanowczo, karcąco patrząc na blondynkę.

Kobiety zaszemrały; wyraźnie nie były zachwycone jej przybyciem. Trudno, tak bywa. Poradzi sobie.

- Przepraszamy panie, ale musimy iść do Suzy. - Było to jawne kłamstwo, bo mała bawiła się z chłopczykiem trzymającym w rączce różowego misia..- Ojcowskie obowiązki

- dodał, demonstracyjnie podając Jackie ramię.

Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, zapytała konspiracyjnym szeptem:

One nie mają mężów?

Te akurat nie.

Aha... - Gdy zerknęła w tył, ujrzała gniewne spojrzenie Beverly.

Nie bój się, nie zastrzelą cię. Przyszły bez broni. - Steven puścił oko.

A jeśli któraś z nich ma w torebce procę i strzeli mi w plecy?

Nie ma problemu. - Położył rękę na jej plecach.

No ładnie. - Stłumiła śmiech. - Tym jednym małym gestem sprawiłaś, że znienawidziły mnie do reszty. Są pewne, że mam zakusy na ciebie.

Ale nie masz.

Nie - odparła poważnie. Może to nie było kłamstwo.

- Nie mam. - Zresztą i tak nie miała szans, bo Steven nie chciał się wiązać, a nawet gdyby zmienił zdanie, to miał z kogo wybierać. Były tu ładniejsze od niej. Nie powinno jej to obchodzić, a jednak poczuła ukłucie-bólu. Jak wtedy, gdy Garret ją zostawił, zauroczony Parris, która zresztą wcale go nie chciała.

Za to te panie bardzo chciały Stevena. I nic dziwnego.

- Kto chce pojechać na koniku? - zapytał, padając na czworaki.

Suzy i jej kolega przycwałowali z piskiem i zaczęli wspinać się na Stevena.

- Dobrze, zaraz was przewiozę, ale Jackie musi nam pomóc. Nie chcę, żeby któreś z was spadło i zrobiło sobie kuku.

Suzy natychmiast zaczęła ciągnąć ją za rękę.

- Zieki - powiedziała, po raz pierwszy zwracając się do niej po imieniu.

Ścisnęło ją w gardle.

Posadziła Suzy na grzbiecie Stevena, pochyliła się po chłopczyka. Malec patrzył na nią z ubóstwieniem. Z wrażenia aż zamarła.

- Świetnie ci idzie - powiedział Steven. - Doskonale.

Widziała wpatrzona w nią jego oczy. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżyła podobnej chwili.

Gdy posadziła chłopczyka za Suzy, Steven powolutku ruszył. Malec zagulgotał radośnie i zaczął wierzgać nóżkami. Suzy zacisnęła paluszki na koszuli taty.

Jak się nazywa twój kolega? - zapytała Jackie, choć z góry wiedziała, że mała nie zrozumie pytania. Pochyliła się do piszczącego chłopca. - Jak masz na imię?

Imię - powiedział malec.

Jackie zamrugła, a Steven zachichotał.

- Davis - powiedział.

Naraz dzieci zaczęły się zsuwać. Steven natychmiast znieruchomiał.

- Jackie, pomóż nam, bo będzie katastrofa.

Zręcznie złapała maluchy, znów posadziła je na plecach Stevena.



- Chcecie jeszcze? - spytała.

Dzieci zapiszczały radośnie.

Dzięki - rzekł Steven, ostrożnie okrążając matę. Wprawdzie niedaleko do materaca, ale konik ma swoją dumę. Dotąd nie zrzucił żadnego jeźdźca.

Jesteś wyjątkowym tatą - powiedziała Jackie. Jej ojciec nigdy się z nią nie bawił. Nawet jeśli rozumiał, że córka rozpaczliwie potrzebuje jego uwagi, nic sobie z tego nie robił.

Zatrzymał się, popatrzył na nią.

- To najmiłsza rzecz, jaką mi powiedziano.

Nie mogła odwrócić wzroku. Wyciągnęła do niego rękę.

Naraz po drugiej stronie sali zapanował gwar. Beverly zaklaskała w ręce.

- Pora na bajkę! Pani Lucy zaraz przeczyta nam bajeczkę.

Zapraszamy wszystkich!

Jackie spodziewała się, że maluchy pognają w tamtą stronę, lecz w ogóle się nie przejęły. Połowa dalej bawiła się w najlepsze, inne szukały nowych zajęć. Jakaś dziewczynka zaczęła żałośnie płakać. Rodzice zabierali dzieci i przenosili się z nimi na drugi koniec sali.

Jackie ostrożnie zdjęła Davisa i Suzy z pleców Stevena. Podniósł się, wziął na ręce chłopczyka.

- Może potrzy masz Suzy podczas bajki? Zwykle zaczyna się wiercić i chce, by ktoś ją przytulał. Ktoś, kogo lubi.

- Dawał do zrozumienia, że Jackie jest taką osobą. I on to akceptuje.

Poruszona, dotknęła jego ramienia.

- Suzy ma wielkie szczęście, że ma takiego ojca.

Ujął jej dłoń.

Dzięki, że zgodziłaś się tu ze mną przyjść. No to jak z tą bajką? Chcesz jej posłuchać?

Oczywiście - odparła z uśmiechem i wyciągnęła ręce po dziewczynkę.

W tej samej chwili między nich weszła Beverly Darvish popychając. Jackie z takim impetem, że omal jej nie prze wróciła.

- Steven, zajęłam ci miejsce, jak zawsze. Choć słuchanie bajek pewnie cię znudzi. - Popatrzyła na Jackie i znowu odwróciła się do Stevena. - Ty już trzymasz Davisa, więc ja wezmę Suzy. - Zwinnie chwyciła małą, drugim ramieniem objęła Stevena i pociągnęła go na drugi koniec sali. Suzy zaczęła się wyrwać i odwróciwszy się w tył, rozszerzony mi oczami wpatrywała się w Jackie.

Steven nie ruszył się z miejsca, Oczy pociemniały mu groźnie. Oswobodził się z uścisku Beverly, ostrożnie po stawił na materacu Davisa i sięgnął po córkę.

- Beverly, dziękuję za propozycję - powiedział lodowatym tonem - ale może nie dotarło do ciebie, że Jackie jest moim gościem i nie pozwolę jej źle traktować. Omal przez ciebie nie upadła, a ty nawet nie powiedziałaś „przepraszam”. Idź posłuchać bajki, Czerwony Kapturek już jest w połowie drogi do babci. Chyba nie chcesz, by umknęło ci zakończenie? - zakończył z chłodnym uśmiechem.

Beverly zamrugwała, po chwili odeszła.

- Nic ci nie jest? - zapytał skonfundowaną Jackie.

Miała w głowie gonitwę myśli. Po raz pierwszy ktoś stanął w jej obronie. Po raz pierwszy komuś na niej zależało.

- Nie, nic. Nie popchnęła mnie aż tak, żebym upadła.

- Wcale by się tym nie przejęła. No dobrze, chodźmy po słuchać bajki.

Zgoda, choć przyznam się, że gdy byłam mała, to przez tę bajkę bałam się zarośli, bo mógł tam zaiść się wilk. - Popatrzyła na siedzącego na materacu Davisa. Malec przytulił do siebie misia i już prawie zasypiał. - Steven, czyje to dziecko?

Pani Lucy, tej, co czyta bajkę. Ten mały to taka przylepka, że zawsze ktoś się nim zajmie. Gna zaraz po niego przyjdzie. Położę go, niech sobie odpocznie.

Suzy wcale nie wygląda na senną.

Uwielbia towarzystwo, gdy coś się dzieje, nigdy nie traci czasu na sen, ale jak tylko wróci do domu, od razu śpi jak kamień. Tak jest za każdym razem.

Taka mała towarzyska trzpiotka - rzekła Jackie, całując rączkę Suzy.

- Jak jej matka - powiedział Steven i zeszywniał.

Jackie też skamieniała.

Steven potarł kark, otworzył usta.

- Nic nie mów - powstrzymała go. - Proszę. Wierzę, że kiedy kobieta nosi w sobie dziecko, przekazuje mu coś od siebie, choć naukowcy jeszcze tego nie udowodnili. Z Suzy też tak było.

Twarz Stevena była nieprzenikniona.

Chodźmy - rzucił krótko.

Powiedziałam coś nie tak?

Steven już podniósł Davisa i niósł go do łóżeczka. Okrył go, delikatnie pogłaskał chłopczyka po buzi. Potem zabrał Suzy i ruszył do wyjścia.

Jackie podążyła za nim. Steven usadził Suzy w foteliku.

Zdenerwowałam cię? Jeśli tak, to bardzo przepraszam. Wyprostował się, podszedł blisko niej.

Nie powiedziałaś nic złego.

No to dlaczego jesteś taki zły?

Nie jestem zły na ciebie, lecz na siebie. Miałaś rację, nie po raz pierwszy. To, co robisz, co mówisz... to mnie intryguje, a tego nie chcę. Nie wiem, czy to rozumiesz.

Chyba tak... - Och, jak dobrze go rozumiała! Stał tak blisko, że czuła jego oddech, jego ciepło.

Tylko tak ci się zdaje, ale to raczej niemożliwe. - Wsunął dłoń pod jej włosy, dotykając karku.

Przełknęła ślinę.

- Wiesz... jeszcze nigdy nikt się za mną nie ujął - wyrzuciła z siebie. Serce jej dudniło. - To mnie poruszyło...

I też się przed tym bronię, choć jestem ci wdzięczna za to, co powiedziałaś Beverly.

Steven zasępił się.

- Jackie, co to znaczy, że nigdy nikt nie stawał w twojej obronie?

Wzruszyła ramionami.

- Nie. Mój ojciec... nie był zadowolony z faktu, że ma dzieci. Moi rodzice rozwiedli się. Mama uważała, że to przeze mnie od niej odszedł. - Gdy Steven cicho zaklął pod nosem, dodała szybko: - Nie skarżę się. Już dawno się z tym pogodziłam, przestałam brać to sobie do serca. Po prostu chciałam, żebyś wiedział.

To nie było w porządku - rzekł zmienionym głosem. - Jednak wykazałaś się męstwem, wytrwałaś. Idziesz własną drogą, widzisz to, co ważne. Masz dobre serce. Dzięki tobie inna kobieta została matką. Posunęłaś się do tego, by twierdzić, że między nią a dzieckiem w jej łonie powstała szczególna więź, że przekazała Suzy część siebie. Powiedziałaś to, bo czułaś, że to dla mnie ważne.

Powiedziałam tak, bo tak mogło być - sprostowała

bez tchu, bo jego dłoń błędziła po jej włosach. Przecież jego żona mogła przekazać coś dziecku, to chyba możliwe?

Oczywiście powiedziała to ze względu na Stevena. Stracił żonę, a teraz ona, dawczyni komórek jajowych, niespodziewanie wyłoniła się z niebytu. Chciała odwdziaczyć się za to, co dla niej zrobił. - Tak mogło być - powtórzyła. - Dzieci to coś więcej niż tylko materiał genetyczny.

- Ale ten materiał może być bardzo istotny - zareplikował, delikatnie gładząc kciukiem czułe miejsce na jej karku.

Jackie z trudem przełknęła ślinę.

Ja... możliwe.

Mam przestać cię dotykać? Zamknęła oczy.

Tak. Nie. Nie wiem. Ty też mnie intrygujesz i też wcale się z tego nie cieszę.

Wiem. Chciałbym, by tak nie było, Jackie, ale prawda jest taka, że masz w sobie coś...

Czuła jego ciepły, pachnący miętą oddech. Otworzyła oczy.

Popatrzyła na niego, wspięła się na palce.

- Ty też coś w sobie masz... - Pocałowała go. Mocno.

- Też tego nie chcę - wyszeptała, może do siebie. - Wracajmy do domu i zapomnijmy o tym. - Nie zgromiła siebie za użycie tego słowa. On wie, co miała na myśli, gdy powiedziała „dom”.

Gdyby tylko ona to wiedziała.

I gdyby mogła przestać o nim myśleć, gdyby mogła przestać go pragnąć. Znowu widzieć w nim przeciwnika. O ileż byłoby im łatwiej!

Ale dla Suzy byłoby o wiele gorzej.

Nie ma innego wyjścia, jak o wszystkim zapomnieć. Wymazać z pamięci Stevena i to, co się z nim wiąże.

Jednak w skrytości duszy wiedziała, że tak się nigdy nie stanie. Nigdy nie zapomni ani dziecka, ani jej ojca. Musi się z tym pogodzić. I przez ten czas, jaki jej jeszcze został, skoncentrować się tylko na Suzy.

- Tak zrobię - zdecydowała. - Muszę tylko obmyślić dobry plan.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dwa dni później nie miała już wątpliwości, że Steven wziął sobie do serca jej słowa, bo ich kontakty ograniczyły się do zdawkowych komunikatów. W zasadzie informował ją jedynie o tym, gdzie w razie czego można go znaleźć, i tylko subtelnie dawał do zrozumienia, że ma do niej pełne zaufanie. Rano, wychodząc do pracy, zachęcił ją, by wybrała się z Suzy na spacer lub do klubu. Zapewnił, że nie będzie jej deptać po piętach, obserwować, jak sobie radzi.

- Przecież już tak jest - wyszeptwała do Suzy, delikatnie namydlając szamponem jej jedwabiste włoski. - Twój tatuś prawie do nas nie zagląda. Poszedł do swoich krówek i koników. - Brakowało jej obecności Stevena, tęskniła za jego głosem, choć nie powinna.

Suzy popatrzyła na nią, zamrugła i pacnęła rączkami w wodę, rozchlapując ją po całej łaźience.

- Och, ty łobuziaku! - zaśmiała się Jackie. - Specjalnie tak chłapiasz, żeby mnie rozśmieszyć?

Suzy gaworzyła po swojemu, wlepiała w nią roześmiane, niewinne oczka.

- Miałaś rację, skarbie. Nie powinnam ciągle myśleć o twoim tatuśku. Nawet dobrze, że go tu nie ma, że poszedł sobie do krówek. Przynajmniej nie zrobię czegoś głupiego.

Krówka - powiedziała Suzy. - Muuuu. Jackie wybuchnęła śmiechem.

Muuuu - powtórzyła, przesadnie ściągając wargi. Podniosła wzrok i nieoczekiwanie ujrzała na progu Stevena. Podążyła za jego wzrokiem. Zmoczona biała bluzka oblepiała jej ciało. Zmieszana, popatrzyła mu prosto w oczy. Steven skinął jej głową i ruszył korytarzem.

Znowu zostały same. Jeszcze nie tak dawno tego chciała, ale czy nadal chce?

Ostrożnie wyjęła małą z wanny, otuliła białym ręcznikiem i przytuliła do piersi.

- Tylko ty jesteś ważna - wyszeptała. Jednak w skrytości duszy wiedziała, że to kłamstwo, bo zaczynały się liczyć również inne rzeczy. I coraz mocniej uświadamiała sobie, że przyjazd tutaj był wielką pomyłką.

Dwa tygodnie. Gdy się skończą, wróci do swojego normalnego życia. Musi znaleźć sposób, by nie doszło do żadnych problemów. Musi się bardzo postarać.

Trzymał się narzuconych sobie ograniczeń. Wychodził z domu wczesnym rankiem, wracał późno. Cierpiał na tym jego kontakty z Suzy, lecz tłumaczył sobie, że Jackie jest z nią tylko przez dwa tygodnie, że ma tak niewiele czasu. Nie chciał jej przeszkadzać, nie chciał rozpraszać jej w żaden sposób.

Jednak przechodząc obok pokoju dziecinnego, nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć do środka. Może choć da córce buziaka na dobranoc.

Ostrożnie otworzył drzwi. Nie chciał obudzić małej, jeśli już usnęła. Znieruchomiał. Jackie siedziała na bujanym fotelu, na kolanach trzymała Suzy i czytała jej książeczkę.



- Aż wreszcie księżę zrozumiał, że księżniczka jest nie tylko piękna, ale również świetnie sobie radzi na ranczu - dobiegł go łagodny głos. - Umie zajmować się krowami i końmi, a przede wszystkim nie włązi im pod kopyta jak te głupie miastowe dziewczyny. Wtedy postanowił, że musi ją lepiej poznać. Co ty o tym myślisz, skarbuniu? - Suzy zamruczała sennie, pokazała pulchnymi paluszkami obrazek, potarła oczka. - Tak, masz rację, kochanie. Księżę wiedział, że ważne są nie tylko piękne oczy i włosy. Ty też masz piękne włoski i oczka, ale oprócz tego jesteś bystra, wesoła i kochana. Księżę od razu się poznał, że śliczna księżniczka też jest mądra i wesoła, a ona się przekonała, że księżę ma wiele zalet, jest zręczny i silny, ale poza tym umie gotować i robić sobie pranie. To dużo jak na mężczyznę, prawda? A księżniczka jeszcze wielu domowych prac go nauczy, i dlatego będą żyli długo i szczęśliwie. - Ucałowała Suzy w czubek główki.

Steven z trudem zdusił w sobie śmiech. Chrząknął.

Zaskoczona Jackie aż podskoczyła, potem wlepiła w niego szeroko otwarte, niebieskie oczy. Takie same jak Suzy, tylko że oczy małej się śmiały. Steven stał nieruchomo i jak urzęczony patrzył na ciemny rumieniec widoczny w wycięciu białej bluzki.

Otrząsnął się, przeniósł wzrok na jej twarz.

- Ładna bajka - powiedział z uśmiechem. - Czytałem ją niedawno, ale chyba mam sklerozę, bo nie pamiętam nie których wątków.

Jackie odwzajemniła uśmiech.

Bajka sama w sobie jest bardzo fajna, ale...

Podoba ci się, jak mężczyzna potrafi gotować i sam pierze swoje rzeczy?

Hm... nigdy nie musiałam dla kogoś gotować czy go opierać. Ale założmy, że taka sytuacja by powstała. Chciałabyś, żeby facet był samodzielny?

Wzruszyła ramionami, przytuliła senną Suzy i podniosła się z fotela. Położyła małą do łóżeczka, ucałowała ją na dobranoc, wróciła do Stevena.

Czego szukasz w mężczyźnie? - nalegał.

Już ci powiedziałam, że niczego nie szukam.

Gdybyś jednak szukała?

Zagryzła usta. Naciska ją, raczej nie da się zbyć byle czym.

- Cóż, sama nie wiem. Nie przykładaj wagi do tego, co mówiłam Suzy, przecież to tylko bajka. Wiem, że ona jest za mała, by zrozumieć, ale bardzo bym chciała, by dostrzegała w ludziach coś więcej niż tylko wygląd. W życiu liczy się wiele rzeczy, można się spełniać w różny sposób.

Dotąd odpychał od siebie te myśli, lecz teraz nie mógł. Jak to będzie, gdy Jackie na zawsze stąd wyjedzie?

Uważasz się za kobietę spełnioną?

Tak. Mam swoją pracę - odparła bez namysłu.

To wszystko? - Nie chciał zastanawiać się nad jej życiem osobistym. Zastrzegła się, że nie szuka mężczyzny, a on jej wierzył. Jednak ktoś taki może się pojawić. Co będzie wtedy? Czekał na jej odpowiedź. Jackie popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie zaprzeczysz, że praca może być bardzo satysfakcjonująca, Moja naprawdę daje mi bardzo wiele - dodała z przekonaniem.

To go cieszyło. Zależało mu, by czuła się szczęśliwa

i spełniona, zarazem jednak nie chciał, by była sama. I nie chciał, by w jej życiu pojawił się mężczyzna. Cóż, nie bardzo to pasowało do siebie.

Cieszę się, Jackie. Chcę, żebyś była szczęśliwa. - Podeszedł krok bliżej.

Będę - wykrztusiła łamiącym się głosem.

Jakoś w to nie wierzył. Wciąż miał przed oczami scenę, jak z Suzy na kolanach siedziała w bujanym fotelu. Ta sfera życia już niedługo stanie się dla niej zamknięta. Na zawsze. Wiedział, co to znaczy, wiedział, jak wiele Jackie straci. Już nie będzie tulić do siebie Suzy, czytać jej bajek, układać do snu. Ale się porobiło - mruknął.

Wiem. Nie powinnam była tu przyjeżdżać..! - Jej głos był ledwie słyszalny. - Zresztą możliwe, że niedługo będę musiała wyjechać. Rano dzwoniła do mnie Parris, Problemy ją przerastają.

Niedługo, ale jeszcze nie teraz?

Nie, jeszcze nie teraz - powiedziała zdecydowanym tonem.

To dobrze. - Wiedział, że powinien trwać w swoim postanowieniu i trzymać się od niej z daleka, lecz był głuchy na głos rozsądku. Podeszedł jeszcze bliżej, położył ręce na jej ramionach. Poczul pod palcami cudowną miękkość skóry - i przepadł.

Jackie - wyszeptał, przygarniając ją do siebie i odnajdując jej usta.

Wtuliła się w niego, jakby wreszcie odnalazła swoje miejsce. Ich ciała pasowały do siebie, jakby były dla siebie stworzone. Nie mógł się oprzeć pokusie, zaczął błędzić palcami po jej ciele.

Powiedz, jeśli mam przestać - wyszeptał, chcąc, by go powstrzymała, i mając nadzieję, że tego nie zrobi.

Nie mogę. - Oddała mu pocałunek. - Chciałabym, ale to ponad moje siły. Steven, pomóż mi.

To go otrzeźwiło. Prosi, by ją zostawił, nie chce tego. Przecież nie może jej zmuszać.

Puścił ją, delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy.

Popatrzył na nią. Była rozdarta, złamana. Jemu też będzie ciężko, gdy Jackie odjedzie, lecz zostanie mu Suzy. ' A Jackie? Co jej pozostanie?

- Jesteś zżyta z siostrą? Zgadza się?

Jackie zamrugała, jakby nie dotarł do niej sens jego pytania. Wreszcie pokręciła głową.

- Niewiele nas łączy. To moja siostra przyrodnia. Nie wychowywałyśmy się razem. Mój ojciec rozwiódł się, by ożenić się z matką Parris. Niedawno przekazał nam jedną ze swoich upadających firm, więc nasze kontakty się zacieśniły.

Fajny ojciec, przemknęło mu przez myśl. Okruchy z pańskiego stołu, tylko to był gotów dać córce. Już z wcześniejszych napomknien Jackie wyłaniał się taki obraz tego człowieka.

Niewiele dobrego spotkało ją w życiu, a niedługo straci dziecko, pozostaną jej tylko wspomnienia. Te pocałunki, te pragnienia, które w nich wciąż potężnieją, tylko świadczą, że po tych dwóch tygodniach powinni na zawsze o sobie zapomnieć, jeśli nie chcą, by ucierpiała Suzy.

- Przeniesiemy tu twoje łóżko - powiedział. - Będiesz mogła przez cały czas być z Suzy. Dam ci jej zdjęcia. Zachowasz też wspomnienia.

Widział uczucia malujące się w jej oczach. Drżącymi

palcami dotknęła ust. Był zły na siebie, że to przez niego cierpi.

- Dziękuję. - Nie był pewien, czy naprawdę słyszał jej szept, czy to była jego imaginacja.

Wszedł.

- Pójdiesz spać do baraku - rzekł do siebie. - Trzymaj się od niej jak najdalej.

Nie miał innego wyjścia. Jackie jest kłębkim nerwów, przeżywa zbliżające się rozstanie z dzieckiem. On też jest rozdarty, ale to go nie usprawiedliwia.

Nie może ryzykować. I już nie ufa sobie. Chyba poprosi Bena, żeby miał na niego oko i powstrzymał go, gdy tylko za nadto zbliży się do Jackie. Ben swoje przeżył, jest rozważny, bystry i można na niego liczyć. I całe szczęście.

- Gdy tylko się do siebie zbliżają, robi się coraz gorzej - powiedziała Merry, nie odrywając oczu od ekranu komórki. - Marnie to widzę. Czy on naprawdę chce przenieść się do baraku? O co mu chodzi?

Wsluchiwała się w rozmowę Stevena z Benem.

To dobry pomysł - rzekł Ben. - Jackie jest urocza, więc nic dziwnego, że cię do niej ciągnie. Jednak jeśli nie chce wyjść za mąż, a ty też nie chcesz się żenić, to powinniście zejść sobie z oczu, tak będzie najrozsądniej. W przeciwnym wypadku Suzy znajdzie się między wami, a to bardzo źle dla dziecka.

Wiem - zmienionym głosem mruknął Steven. - Dlatego liczę na ciebie. Jeśli się zapomnę, po prostu daj mi znak.

Nie ma sprawy. Dopilnuję, byście trzymali się od siebie z daleka.

- Nie! - krzyknęła Merry i ze złością rzuciła telefonem przez pokój. Uprzymniwszy sobie, że może stracić jedyny kontakt ze swoją parą, pobiegła i z trudem schyliła się po komórkę. - Potrzebny mi cud - wyszeptała. - Inaczej wszystko na nic. - Co jej teraz pozostało? Dzielili ich spora odległość. Jak dokonać cudu, jak sprawić, by Ben wszystkiego nie zepsuł?

RS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jackie postawiła Suzy na podłogę, by mała pobawiła się pluszowymi zabawkami, i przysiadła obok niej. Jednak nie minęła chwila, a dziewczynka zaczęła wyciągać do niej ręce i rozpaczliwie szlochać.

- Skarbie, co się stało? - Przytuliła ją czule.

Suzy wsunęła rączkę do buzi. Na moment uspokoiła się nieco, jednak znowu wygięła usta w podkówkę.

Jackie była w rozterce. Ostatnio jej więź z Suzy znacznie się pogłębiła. Steven pojawiał się rzadko, pewnie dlatego jego córka czuła się tak bardzo z nią związana. To wszystko przede mną, to moja wina, zadreśla się Jackie. Wdarła się tutaj na siłę, odciągnęła ojca od dziecka, uzależniła Suzy od siebie. Dotknęła ustami jedwabistego policzka dziewczynki, podniosła się i zaczęła ją bujać, śpiewając cichutko. Suzy rozluźniła się i usnęła.

- Może położę ją do łóżka? - zaproponowała Charlotte.

Nie chciała oddawać jej małej. Chciała wszystko robić przy niej sama. Jednak rozsądek podpowiadał, że nie jest to właściwa droga. Dla ich wspólnego dobra powinna powoli wycofywać się z życia Suzy. Charlotte jest małej bezgranicznie oddana, kocha ją i z pewnością brakuje jej tych codziennych zajęć.

Dziękuję. - Uśmiechnęła się blado.

Zawojowała cię, co? - Charlotte skinęła głową w stronę śpiącej dziewczynki.

Nigdy nie przypuszczałam, że właśnie tak będzie.

Wiem doskonale, co czujesz. Samotne kobiety omija wiele rzeczy.

Popatrzyły na siebie z pełnym zrozumieniem, wreszcie Jackie powiedziała:

- Suzy tęskni za ojcem. Steven ostatnio jest bardzo zajęty..

Charlotte uciekła wzrokiem, lecz skinęła głową.

- Prosił, żebym przygotowała kosz piknikowy dla ciebie i Suzy. Pokażę ci, gdzie znaleźć spokojne, dobrze ocienione miejsce.-

- Tylko dla Suzy i dla mnie?

-Mhm.

- A co on... to znaczy chciałam zapytać, co oni teraz robią w czasie lunchu? Na początku zwykle przychodzili tutaj.

Charlotte, wzruszywszy ramionami, wzięła od Jackie śpiącą dziewczynkę.

Ci mężczyźni... Szykuję dla nich jedzenie, ale nie raczą przyjść. Mnie to nie przeszkadza. Nic się nie marnuje, bo zostaje na kolację. Nie ma się co przejmować. Dadzą sobie radę i z głodu nie zginą.

Może mają tyle pracy, że nie wyrabiają się na lunch? Może powinnam im zanieść coś do jedzenia.

- Chcesz sobie napytać biedy?

Wymieniły spojrzenia.

- Pewnie tak, Charlotte. Kłopoty to moja specjalność,

Sama wiesz, że wcisnęłam się tu wbrew woli Stevena, jed-



nak jak mam się objadać twoim pysznym jedzonkiem, skoro wiem, że on celowo mnie unika, żeby mieć Suzy dla siebie? Bo tak właśnie jest, prawda?

Myślę, że bez względu na to, co powiem, i tak zrobisz, jak uważasz. - Charlotte wyraźnie się rozpogodziła.

Nie mam racji?

Masz, oczywiście, że masz, ale pamiętaj, że Steven nie da się prowadzić na sznurku. Musisz mieć coś, co go przekona.

Jackie roześmiała się głośno, serdecznie, pierwszy raz od dwóch dni.

Mam coś takiego. Wystarczy, że pomacham im przed nosem twoim pieczonym kurczakiem, a od razu rzucą wszystko i ruszą za mną. Wtedy i Steven tu się zjawi, chyba że będzie chciał pracować w pojedynkę.

Ty diabełku! - zachichotała Charlotte. - Nie mam pojęcia, czemu na samym początku miałam jakieś obiekcje względem ciebie. Jesteś taka sama jak ja.

Dzięki. No to gdzie jest ten kosz? Mam misję do wypełnienia. Ten szkrab potrzebuje taty, więc ja go tu sprowadzę, choćbym miała go związać i przytaszczyć. - Ruszyła do drzwi.

- Jackie!

-Tak?

- Lepiej się przebierz. Pantofle i spódnica to kiepski pomysł na przechadzkę po polach. Włóż kowbojki, weź mojego dżipa i komórkę, tak na wszelki wypadek, jakbyś się zgubiła czy miała awarię. Koń byłby lepszy, ale...

-Wiem, wiem. Miastowa panna nie umie siedzieć w siodle - mruknęła.

- To jeszcze nie grzech.

W La Torchere nie, ale tu to zupełnie co innego.

Nie musisz jechać go szukać.

Jackie popatrzyła na Suzy. Mała nawet we śnie nie była tak rozluźniona jak jeszcze kilka dni temu.

Muszę. To małeństwo potrzebuje ojca. - Nie chciała zastanawiać się nad tym, że i jej serce wrywa się do Stevena. A on jej nie chce. Ani jej, ani żadnej innej. Może wciąż kocha swoją żonę? Czemu w ogóle o tym myśli? Przecież oboje ustalili, że nie są sobie przeznaczeni.

Wkładaj kowbojki - przykazała sobie na głos. - I postaraj się nie wyglądać na miastową. - A tym bardziej na taką, która tylko marzy, by znaleźć się w ramionach Stevena.

Do cholery, Ben! - zdenerwował się Steven. - Ale się popisałem! Wjechałem do rowu, jakbym był początkującym kierowcą. - Z niedowierzaniem popatrzył na zaryty w błocie pikap.

Ben ściągnął z głowy kapelusz i z zafrasowaną miną podrapał się po przerzedzonej czuprynie.

- Bo wciąż bujasz w obłokach jak jaki mały. Zamiast skupić się na robocie, cały czas dumasz o czymś... albo o kimś.

- Nie udawał, że nie rozumie aluzji.

To żadna wymówka. Nawet jeśli tak było, to powinienem bardziej uważać.

Co racja, to racja. Cóż, spróbujmy go jakoś wypchnąć.

Może zadzwonię po Hoagiego?

Nie, mają dużo pracy. Nie chcę ich odciągać bez potrzeby.

Ben roześmiał się.

- A może nie chcesz, by chłopcy zobaczyli, jak popisał się ich szef?

Steven uśmiechnął się.

- To też. - Jednak wcale nie było mu do śmiechu. Odkąd Jackie zagościła pod jego dachem, nie poznawał samego siebie. Nigdy nie zrobił tylu głupstw co w ciągu tych dni. Ciekawe, czy opamięta się i zacznie zachowywać się racjonalnie, gdy ona wyjedzie. - Ben, siadaj za kierownicą. Ja popchnę. Nic to nie dało. Koła buksowały w błocie, samochód zapadł się głębiej.

Steven walnął kapeluszem w tył pikapa.

No dobrze, jeszcze raz. Może chociaż trochę się przesunie. Z nowego miejsca poszłoby łatwiej.

Może w czymś pomóc?

Na dźwięk wesołego głosu obaj mężczyźni gwałtownie podnieśli głowy. Jackie siedziała za kierownicą płomiennie czerwonego džipa Charlotte. Uśmiechała się od ucha do ucha, niebieskie oczy jaśniały. Steven był pewien, że w życiu nie widział równie czarownego zjawiska. Chciał porwać ją w ramiona i schrupać, lecz w tej samej chwili Ben chrząknął znacząco, najpierw raz, potem drugi, przywołując go do porządku. No tak, miał trzymać się od Jackie z daleka.

Gdzie Suzy? - zapytał, starając się mówić normalnym tonem. Śpi.

Nadal się uśmiechała. Co za kobieta! Czy nie zdawała sobie sprawy, że jeśli nie przestanie tak na niego patrzeć, to zaraz ją pocałuje?

Ben chrząknął jeszcze głośniej, niemal zakaszał.

- Musisz coś wziąć na gardło - poradziła Jackie.

W domu na pewno coś się znajdzie, poproś o to Charlotte. Ale najpierw trzeba wyciągnąć ten samochód. Co mam zrobić?

Wyskoczyła z dżipa. Miała na sobie podkreślające figurę dżinsy i obcisły podkoszulek z misiem na przodzie. Steven widział niedawno takie bluzki w lokalnym sklepie. Pewnie Charlotte ją kupiła, bo raczej nie Jackie, drobna i delikatna dziewczyna z miasta.

Wymienił z Benem porozumiewawcze spojrzenie, odwrócił się do Jackie. Nie mógł się do niej nie uśmiechnąć. Do diabła, nie mógł oderwać od niej oczu. Miał wrażenie, że minęła wieczność, odkąd ostatni raz ją widział.

- Ty nic nie rób. Mamy z Benem sporą praktykę, a jeśli nie damy rady, ściągniemy posiłki.

Spojrzała na niego wymownie.

- Steven, daruj sobie ten protekcjonalny ton. Owszem, jestem z miasta, nie mam pojęcia o koniach i krowach, jestem drobna i mała, ale, do diabła, umiem prowadzić samochód! - Coraz bardziej się rozpędzała. - Siadam za kółkiem od czter-nastego roku życia, bo mama uwielbiała szybkie wozy, ale nienawidziła prowadzić, więc bez prawa jazdy robiłam za jej kierowcę. I byś się zdziwił, gdybyśmy mieli ścigać się na torze albo w terenie! - Z jej oczu posypały się skry.

Steven uśmiechnął się.

- Wyglądasz ślicznie, kiedy tak się wściekasz. - Sam był zaskoczony, że to powiedział.

- Chcesz wytrącić mnie z równowagi?

Rozbudzona wyobraźnia podsunęła mu rozkoszny

obraz: Jackie leżąca tuż obok niego, on całuje jej usta, przesuwa palcami po jej piersiach, robi wszystko, by ją rozproszyc i wytrącić z równowagi... Ledwie się opanował, by nie pochwycić jej w ramiona.

Chodzi mi tylko o to, że to duży samochód.

A co to ma do rzeczy? Kierowcy najbardziej potrzebna jest głowa, a mięśnie niech zachowa na siłownię... albo do pchania samochodu. Tak, do tego się nadajecie - stwierdziła słodziutko. - A ja nie. Dlatego siądę za kółkiem, a wy będziecie pchać. - Uśmiechnęła się. - No dobra, po prostu trzeba zrobić to z wyczuciem. Obiecuję, że nie wystartuję za szybko, byście nie padli jak dżdży. Chyba że znów zaczniesz się ze mnie nabijać. Wtedy nic nie będzie pewne.

Ben roześmiał się, Steven mu zawtórował.

Ja się z ciebie nabijam? O czym ty mówisz? Powiedziałem, że wyglądasz ślicznie.

No właśnie. Nie lubię, gdy ktoś próbuje mną manipulować czy wciskać mi ciemnotę. A to właśnie robiłeś. Nie jestem śliczna i nigdy nie byłam, więc sobie daruj.

Steven pokręcił głową.

-Mylisz się tak bardzo, że nawet nie warto tego prostować. Nigdy się z ciebie nie nabijałem. Dobrze, Ben, chodź, niech Jackie spróbuje.

Ben posłał mu niedowierzające spojrzenie.

To naprawdę duży samochód, a nie jakieś sportowe cacko. Zaufałem jej z Suzy - odparł cicho.

Ben nic już nie powiedział. I dobrze, bo nie minęło wiele czasu, a Jackie wyjechała z rowu. Wysiadła, rzuciła Benowi kluczyki.

Charlotte upiekła kurczaka i ciasto z brzoskwiniami. -Gdy Ben wlepił w nią oczy, perfidnie kusiła dalej: - Ciasto przed chwilą zostało wyjęte z piecyka.

Do diabła, przestań! - Odwrócił się do Stevena. - No i co ja mam zrobić? Zna moją słabą stronę. Zresztą tobie już chyba nie jestem potrzebny, więc idę do domu. Uważaj na siebie. - Odjechał, zostawiając ich samych.

W ciszy słychać było brzęczenie owadów i śpiew ptaków. Jackie znalazła kawałek ziemi porośniętej zieloną trawą i rozsiadła się wygodnie.

- Jesteś głodny? Mam z sobą kosz piknikowy.

Usiadł obok niej.

Pieczony kurczak i ciasto brzoskwiniowe? Ze mną nie pójdzie tak łatwo jak z Benem. Domyślam się, że przyjechałaś w jakimś celu. Przejdźmy do rzeczy.

Jak się domyśliłaś?

Zwykle nie ruszałaś się z domu, to raz. Przyjechałaś tu dziupem Charlotte, a ona nie pożycza go na prawo i lewo, tylko musi być jakiś szczególny powód, to dwa.

Jackie pokiwała głową.

-Masz rację. Mam konkretną sprawę, i to poważną.

Chciałabym, żebyś wrócił do domu.

Wstrzymał dech. Wiedział, że chodziło jej o dom w tym szczególnym znaczeniu, nie o budynek. Pokręcił głową.

- Gdy jestem w domu... osaczam cię. - Popatrzył na nią, tym razem nie starając się ukryć spalającego go pragnienia.

Chciał, by ona to zobaczyła, poczuła do głębi. Pragnął jej, pożądał. Marzył, by mieć ją przy sobie, czuć obok siebie jej nagie ciało, porzucić wszelkie opory.

Widział tętno bijące na jej szyi.

- Ja też ciebie osaczam - odparła drżącym głosem - ale

teraz to nie jest najważniejsze. Suzy cię potrzebuje. Ona tęskni za tobą. Tak nie powinno być.

Przesunął ręką po twarzy, zakrył oczy. Prawda była bolesna. Nie chciał się z nią zmierzyć.

- Tęsknisz za swoją żoną? - zapytała cicho. - Ja to tylko pogarszam?

Opuścił rękę, popatrzył Jackie głęboko w oczy.

-Moja żona i ja... Nasze małżeństwo nie było idyllą. Nie była tutaj szczęśliwa, nie była szczęśliwa ze mną. Poznaliśmy się, gdy byłem w college'u i stałem u progu wielkiej sportowej kariery. Liczyła, że zostanę gwiazdą futbolu, zapewni jej inne życie. Była córką ranczera, lecz marzyła, by o tym zapomnieć. Niestety ciężka kontuzja rozwiązała te plany. Michelle bardzo cierpiała, gdy osiedliśmy na ranczu, mimo to powoli jakoś zaczęło się między nami układać, choć coś, co zdawało się nam prawdziwym uczuciem, znikło bez śladu. Było jednak coraz lepiej, po prostu normalnie, bo na nic więcej nie mogliśmy liczyć. I wtedy Michelle na zawsze odeszła. Tak było. Jak widzisz, niczego nie pogarszasz, w każdym razie nie w takim sensie.

Jackie zamrugała.

Wciąż trzymasz się z daleka, choć myślałam, że... że trochę się do mnie przekonałeś. I że choć na początku tak mnie nie znosiłeś, to teraz...

To nie jest tak, że cię nie lubię. Lubię cię za bardzo. Gdy tylko jestem przy tobie, chcę być jeszcze bliżej, dotykać cię. Więc w tym sensie pogarszasz sprawę, ale to nie jest twoja wina. Wyłącznie moja.

Mnie też ciągnie do ciebie.

Boże, nie mów tego. Wolę nic o tym nie wiedzieć, bo wtedy mogę zrobić z tego użytek, a nie chcę. Nie chcę już

zadnej kobiecie niczego obiecywać, nie mogę. Z mojej kariery wyszły nici, podobnie z mojego małżeństwa. Nie chcę znowu ryzykować, zwłaszcza że Suzy niedługo zacznie rozumieć, co się wokół niej dzieje, a wtedy...

- Wiem, ale przecież niedługo stąd wyjadę. Co takiego może się zdarzyć?

Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Wyciągnął rękę i przesunął palcem po policzku Jackie, opuścił dłoń niżej, dotykając jej szyi, dekoltu.

Zamrugła, gwałtownie odetchnęła.

- Co takiego może się zdarzyć? Jackie, znacznie więcej, niż byśmy chcieli, w każdym razie na dłuższą metę.

Powoli pokiwała głową, potem popatrzyła mu prosto w oczy.

- No dobrze, jakieś ryzyko istnieje, przyznaję, ale nie może być tak, jak jest teraz. Suzy to bardzo przeżywa, a ja też nie chcę, by pozostały tylko przykre wspomnienia. Nic się nie stanie, jeśli na to nie pozwolimy. Zdeklarujmy się, że tak będzie. Wykażmy się siłą woli. Ja w pełni ci ufam.

Steven jęknął głucho.

- Zgoda, niech tak będzie. Dobrze, wracajmy do domu.

Jakoś postaramy się nie być z sobą zbyt długo.

Przyjrzała mu się badawczo.

Masz rację. Musimy wypracować plan. Jestem w tym dobra.

Ja już miałem plan. - Skrzywił się lekko. - Ben miał przywoływać mnie do porządku, gdybym zanadto zbliżył się do ciebie.

Roześmiała się, w jej oczach zamigotały wesołe iskierki.

Jestem bardziej odporna niż Ben.

Zacznam myśleć, że rzeczywiście jesteś silniejsza niż



większość ludzi, jakich znam. Twój plan będzie mieć solidne podstawy. Żadne z nas nie ma ochoty na kolejne dzieci, które pojawiają się ni stąd, ni zowąd.

- To prawda, nie chcemy żadnych niespodzianek. Wymyślę coś, co skutecznie nas będzie rozdzielać.

RS

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Albo mnie wzrok zawodzi, albo coś jest z tym lustrem  
- mruknęła Jackie, z niedowierzaniem spoglądając na swoje odbicie. Wyglądała inaczej niż zwykle: jej oczy lśniły, usta wydawały się pełniejsze, twarz jaśnieła. Domyślała się, komu to zawdzięcza: Stevenowi i Su-zy. Tak na nią działali, mimo że ze Stevenem widywała się rzadko, bo oboje starali się nie wchodzić sobie w drogę. Jednak wciąż czuła jego obecność. Suzy też musiała to czuć, bo stała się spokojniejsza i weselsza. Gdy dziś rano Jackie czytała jej bajkę o brzydkim kaczątku, mała pocałowała książeczkę i z rozpromienioną buzią popatrzyła na Jackie. To obecność ojca w domu i częstsze z nim kontakty tak na nią działały. Jackie nie było łatwo. Starła się unikać Stevena, lecz wiele ją to kosztowało. Teraz też słyszała, że chodzi po domu, pewnie czeka na śniadanie. Pora się przejść - powiedziała do siebie. Włożyła kowbojki, wzięła robótkę i ruszyła do wyjścia. Znowu wychodzisz? - spytała Charlotte.  
- Niedługo wrócę. Pomogę ci przygotować lunch. Niania spochmurniała.  
- Nie chodzi mi o to, żebyś mi pomagała, dam sobie radę. Nie podoba mi się tylko, że znów nie jesz śniadania.

Jackie uśmiechnęła się.

- Wcale nie.

Z tacy niesionej przez Charlotte złapała śniadaniową bułeczkę i znowu ruszyła do drzwi. -To nie jest żadne śniadanie! Jackie...

- No właśnie, Jackie - dobiegł ją głęboki męski głos.

Odwróciła się, popatrzyła na Stevena.

To jest twój plan? - zapytał. - Będiesz głodna chodzić wokół domu, póki ja w spokoju nie skończę śniadania?

Spacerują bardzo zdrowe - wykręcała się.

Ale nie z pustym brzuchem. Proszę, zjedz ze mną śniadanie.

Przecież sam powiedziałeś...

Wiem, co powiedziałem. Chyba nie zamierzasz paść z głodu, byle tylko nie wejść mi w drogę. Nie bój się, stół jest długi, usiądę po drugiej stronie, jak najdalej od ciebie, i będę zachowywał się jak należy. W razie czego Charlotte dzieli mnie po głowie.

Niech tylko pan ją tknie, a patelnia pójdzie w ruch -ostrzegła ze śmiechem niania.

Jackie poczuła, że robi się jej gorąco.

To raczej nie będzie potrzebne - powiedziała.

Moja droga - oświadczyła Charlotte, ujmując się pod boki. - Steven jest mężczyzną, a ich czasami trzeba dobrze dzielić.

Wielu tak pani dzieliła? - zapytał Steven.

Raz nieźle rąbnęłam Neda Battlemana, choć teraz nie jestem na niego już taka cięta. Dzwonił do mnie wczoraj. Może nawet nie będę się specjalnie opierać, gdy będzie próbował skraść mi całusa.

Jackie z uśmiechem spojrzała na Stevena. Też się uśmiechał.

Ned to prawdziwy farciarz, Charlotte. Może to ja powinienem chwycić za patelnię, by panią przed nim bronić. Hm, może wcale nie chcę się przed nim bronić. - Zachichotała. - Podobnie może być z Jackie.

Jego oczy pociemniały, ich wyraz się zmienił. Jackie pomyślała, że być może Charlotte trafiła w sedno. Jednak nie ulegnie pokusie, gdy w grę wchodzi dobro Suzy. Otworzyła usta, by zaprotestować.

- Nic nie mów - uprzedziła ją niania. - Wiem, że działacie według planu. A teraz plan przewiduje, że macie usiąść do śniadania.

Poszli do jadalni, Steven odsunął Jackie krzesło. Stał blisko niej, czuła jego ciepło. Korciło ją, by go dotknąć, poczuć jego dotyk, ale na szczęście zdołała stłumić te pragnienia.

Usiadł po drugiej stronie stołu. Cisza, jaka zapadła, coraz bardziej ciążyła. Czy tak było, gdy jadał tu śniadania ze swoją żoną? Czy wtedy rozmawiali o dziecku? Powiedział, że z czasem ułożyło się między nimi. Czy teraz mu tego brakuje? Steven chyba czytał w jej myślach, bo wreszcie, przerywając ciszę, spytał:

- Jackie, mógłbym jakoś ułatwić te ostatnie dni? Sprawić, byś była w lepszym nastroju?

Jasne, mogli na chwilę zapomnieć o rozsądku i dać się porwać pragnieniom, lecz później drogo by za to zapłacili. Pokręciła głową.

- Ostatnie dni były bardzo udane. Bawiłyśmy się z Suzy, czytałam jej bajki. Dużo spacerowałam, wyraźnie poprawiła mi się kondycja. Podoba mi się twoja posiadłość, tu jest pięknie.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona. I że wszystko ułożyło się po twojej myśli.

Po jej myśli? Niedługo będzie musiała wyjechać stąd na zawsze, lecz jej serce zostanie tutaj. Nie tylko z powodu Suzy.

Oczywiście nie jest aż taką idiotką, by mu o tym powiedzieć.

- Pora na mnie, Steven. Staram się spacerować, ile się tylko da, by zobaczyć jak najwięcej. Dzisiaj zaplanowałam długą trasę, więc muszę się już zbierać.

Podniosła się. Im szybciej stąd wyjdzie, tym lepiej. Nie chce go widzieć, nie chce o nim myśleć. Steven też wstał.

- Jackie... – zaczął lecz przerwał mu dźwięk telefonu.

Chciała wyjść. Bała się, że nie zapanuje nad sobą, wyzna mu, co do niego czuje, powie, że nie chce się z nim rozstawać.

- Jackie, to do ciebie! - zawołała Charlotte.

Wybiegła z jadalni. Odebrała telefon na górze.

- Jackie, błagam cię - w słuchawce rozległ się głos Parris. -

Wiem, że zostało ci jeszcze parę dni, ale wszystko coraz bardziej się komplikuje. Nie radzę sobie. Jest tyle papierkowej roboty, ludzie zmieniają zdanie, boję się, że stracimy ten obraz Pollocka. W dodatku wczoraj wieczorem zadzwonił tata. Jestem pewna, że tylko czeka, aż sytuacja wymknie się nam spod kontroli. Był niezadowolony, że mamy tyle problemów, że ciebie nie ma na miejscu. Wiesz, co będzie, jeśli wszystko się sypnie?

Odżyły w niej dawne lęki.

- Wiem... - Powinna wrócić, lecz jeśli to zrobi, już ni gdy nie ujrzy Suzy i Stevena. Czuła nieznośny ból w sercu. Jeśli teraz wyjedzie, przez cały czas będzie zadręczać

się myślą, że mogła być jeszcze w Rollins Acres. Chciała pożegnać się spokojnie, nie pod przymusem.

- Parris, wytrzymaj jeszcze chwilę. Obiecuję, że przyjadę niedługo i wszystkim się zajmę. Zostało mi tak niewiele czasu.

W słuchawce zapadła głęboka cisza.

- Cześć, Jackie - wreszcie powiedziała Parris i rozłączyła się. Poczowała się fatalnie. Wszystko było nie tak. Złapała swoją robótkę, wyszła z domu i ruszyła przed siebie. Może choć na chwilę ucieknie przed dręczącymi ją rozterkami, lękami, pragnieniami. Za kilka dni wróci do ośrodka, znów będzie tak, jakby nigdy nie spotkała Stevena i jego córki.

Na pozór. Bo jej serce zostanie tutaj. Z mężczyzną i jego dzieckiem, istotami, które pokochała.

Łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugwała, by je powstrzymać. Przysiadła na kamieniu, wyjęła robótkę i zaczęła śmigać drutami. Długo tak siedziała, starając się zrobić jak najwięcej, pozbierać pogubione oczka, jakoś wszystko uporządkować. Co było niewykonalne, bo wszystko tak strasznie się pokomplikowało.

Ruszyła przed siebie, wpatrując się w bezkresne pola. Po błękitnym niebie płynęły puchate chmurki.

Steven i Suzy będą patrzeć na to niebo, gdy ona będzie daleko. Miną lata, Steven zapomni o niej, Suzy też nie będzie pamiętać o tym, że kiedyś jej mama była przy niej. Tak już musi być. Tego przecież chciała, gdy nalegała, by pozwolił jej tutaj przyjechać..

To dlaczego tak gorzko płacze?

Cóż, znała odpowiedź.

- Steven, kocham cię - wyszeptwała. - Parris ma rację.

Przyszła pora, bym wyjechała.

W tej samej chwili jej noga wpadła w jakąś dziurę. Jackie przewróciła się, a zaraz potem zielona trawa zniknęła i ogarnęła ją ciemność.

Ktoś ją niósł. Nie ktoś, lecz Steven. Czowała to. Jego mocne ramiona, znajomy zapach wody toaletowej przemieszany z zapachem skóry, koni, Stevena.

Nabrała powietrza, spięła mięśnie.

- Nie ruszaj się - usłyszała jego głos. - Bardzo możliwe, że uderzyłaś się w głowę.

Przeciągnęła palcami po włosach.

- Nie mam guza - wyszeptwała.

Objął ją mocniej. Najchętniej na zawsze by została w jego ramionach.

A wtedy... no tak, przecież on by tego nie chciał.

- Muszę wyjechać - powiedziała. - I to zaraz. Już dzisiaj.

Obiecałam to siostrze. - Kłamstwo gładko przeszło jej przez usta. Pewnie dlatego, że robiła to dla niego, bo nie chciała wystawiać go na ryzyko. Robiła to z miłości. Powiedział jej szczerze, że wariuje na jej punkcie, że z trudem się hamuje.

Wiedziała, że gdy tylko wyjedzie, Steven będzie miał wolną rękę. Przecież taki mężczyzna nie żyje jak mnich, ma swoje potrzeby. Wróci do

poprzedniego życia.

- Steven, słyszałeś, co powiedziałam? Muszę wyjechać.

Zatrzymał się, popatrzył na nią. Miał zaciśnięte usta, oczy ciemniejsze niż zwykle.

- Wezwałem lekarza, już jest w drodze. Nie puszczę cię nigdzie bez jego zgody. Jasne?

Skinęła głową. Była trochę oszołomiona, choć wciąż miała pewność, że lekarz pozwoli jej wyjechać.

- Jak to się stało, że wpadłaś do tej dziury?

Poruszyła się niespokojnie.

Nie zauważyłam jej, bo patrzyłam w niebo. - Gdy tylko westchnął, dodała: - Wiem. W mieście można chodzić z głową w chmurach, a tutaj należy patrzeć pod nogi. Ale przecież mnie znasz.

Miastowa panienska - podsumował, ale nie zabrzmiało to jak wyrzut.

Pogodził się, że taka po prostu jest i nigdy się nie zmieni.

Pewnie ma rację. Gdyby wychowała się na ranczu, ten spacer nie zakończyłby się w taki sposób. Jednak teraz było jej tak ciężko na sercu, że nie mogła opanować smutku i żalu.

Steven, popatrzył na nią uważnie.

- Jeśli lekarz pozwoli ci wyjechać, odczekam trochę, że byś uporządkowała firmowe sprawy, a potem przyjadę z Suzy do ośrodka. Umówiliśmy się na dwa tygodnie, więc parę dni jeszcze zostało.

Chciała o wiele więcej niż dwa tygodnie. Chciała, by przemieniły się w całe życie. Czuła się straszliwie rozdarta. Jeśli teraz się z nimi rozstanie, a potem znów będzie mu siałą się z nim żegnać...

- Nie. - Dotknęła ramienia Stevena, by jeszcze raz choć przez chwilę cieszyć się jego bliskością. - Wobec mnie nie masz już żadnych zobowiązań. Wyjadę i na tym koniec - stwierdziła stanowczo, choć z trudem robiła dobrą minę.

Przyglądał się jej przez długą chwilę, chłonąc każdy szczegół jej twarzy. Oczy miał nieprzeniknione, niczego nie mogła z nich wyczytać.



Wreszcie skinął głową i ruszył w stronę domu. Lekarz już na nich czekał. Tak jak Jackie się spodziewała, nie stwierdził niczego poważnego. Była trochę poobijana, ale to wszystko. Mogła wyruszać w drogę, nic jej nie zatrzymywało.

Lecz jej serce rozpaczliwie opierało się przed rozstaniem ze Stevenem i Suzy. Ból wciąż narastał.

- Pójdę się spakować - powiedziała do Stevena.

Kiwnął głową.

- Odwiozę cię.

Ból stawał się niemożliwy do przeżycia. Z trudem oddychała.

- Czy zgodzisz się... czy nie będziesz mieć nic przeciwko temu, by to Ben mnie odwiózł?

Miała minę, jakby dostał nieoczekiwany cios. Domyślała się, co sobie teraz myśli. Mylił się. To nie do niego nie miała zaufania, lecz do siebie. Bała się, że jeśli zostaną sami, to w momencie pożegnania załame się i powie coś, czego nie powinna powiedzieć. Zacznie błagać o miłość, o wspólną przyszłość... Nie mogła ręczyć za siebie, ryzyko było zbyt duże. Dlatego nie wyzna mu swoich uczuć.

Pójdę po Bena - powiedział.

A ja się spakuję. Potem pożegnam się z Charlotte i z Suzy - wydusiła przez zaciśnięte gardło.

Pakowała się jak automat, potem poszła do pokoju Suzy. I z całą mocą uświadomiła sobie, co traci.

Wzięła dziewczynkę na ręce, przytuliła do piersi i ukryła twarz w miękkich loczkach. Z trudem dusiła w sobie bolesne łzy.

Suzy zamruczała uspokajająco, poklepała Jackie.

- Zieki - powiedziała z czułością.

Nie mogła już dłużej hamować łez, bała się, że zaraz popłyną strumieniem. Tkliwie ucałowała małą, delikatnie włożyła ją do kojca i wybiegła z pokoju.

Steven czekał na nią przy drzwiach.

Nie myślała, nie była w stanie myśleć. Rzuciła się w jego ramiona i pocałowała go.

Objął ją, przygarnął do siebie. Czowała na plecach dotyk jego rąk. Gdy chciała się cofnąć, oddał jej pocałunek. Gorący, taki, który miała zapamiętać na zawsze.

- Opowiem Suzy o tobie. Nie zapomni cię – powiedział zduszonym głosem.

Popatrzyła w jego ciemne, przepełnione niepokojem oczy.

Ja też nie zapomnę... niczego. Ani jednej spędzonej tu chwili.

- Czy on wie, ile jej dał? Znacznie więcej, niż się mogła spodziewać, więcej, niż kiedykolwiek w życiu dostała. - Będę pamiętać - wyszeptła.

Więc zapamiętaj i to. - Pocałował ją jeszcze raz, łagodnie i czule.

Po chwili zasiadła w samochodzie obok Bena.

Ranczo oddalało się z każdą chwilą. Odchodziło w przeszłość jak przeczytana bajka. Wszystko się skończyło. Tylko ona już zawsze będzie dziewczyną z miasta, do końca życia wspominającą swojego kowboja i malutką córeczkę.

No nie, niech ona nie wyjeżdża! - Meny z rozpaczą popatrzyła na Lissę.

To już koniec. - Lissa z rezygnacją machnęła ręką. Musisz zacząć wszystko od początku, z nowymi ludźmi.

Ale przecież im było z sobą dobrze. I mają córeczkę.

Niestety, Merry.

Przecież bez siebie nie znajdą w życiu szczęścia! A ja...  
Wiem - przerwała jej Lissa. Czas uciekał nieubłaganie, Merry  
miała go coraz mniej. Przez chwilę rzeczywiście bardziej  
przejmowała się innymi niż sobą.  
Cóż, eksperyment z Lackie i Stevenem nie powiódł się. Merry  
nie miała wpływu na postępowanie innych, a oni już dokonali  
wyboru.  
Nie było sensu marnować czasu na to, by ich ku sobie po-  
pchnąć.

RS

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po wyjeździe Jackie dom wydawał się Stevenowi dziwnie pusty. Jego kroki dudniły głucho, gdy przechadzał się po salonie. Ruszył do przedpokoju, minął Charlotte. Popatrzyła na niego z niepokojem.

Niech pan do niej pojedzie. Niech pan weźmie Suzy i odwiedzi Jackie.

Nie, to niemożliwe. Umówiliśmy się na dwa tygodnie, takie były warunki. Nie mogę tego zmieniać.

A jeśli Jackie myśli o tym inaczej?

Zawahał się, jednak po chwili zdecydowanie pokręcił głową. To tylko pobożne życzenia, a rzeczywistość jest zupełnie inna.

- Damy sobie radę - rzekł. - I ja, i Suzy.

Jednak gdy dziesięć minut później znalazł się pod drzwiami pokoju Jackie, nie mógł się powstrzymać, musiał wejść do środka.

W powietrzu wciąż unosił się leciutki zapach jej perfum.

Konwalie. Odurzył go ten ledwie uchwytny ślad jej obecności, oszołomił.

Podszedł do komody, na której leżała torba z robótką Jackie, i wyjął bladeżółty kocyk wydziergany przez nią dla Suzy. Ze ściśniętym sercem patrzył na nierówne

brzegi, nieregularne oczka. Każde z nich było zrobione z miłością. To najpiękniejszy kocyk, jaki widział. Przesunął palcami po miękkich brzegach. Jackie tak się starała, poświęciła tyle trudu i czasu, by zrobić ten prezent dla swej córeczki. Dławiło go w piersi, obraz przed oczami się zamazywał. Odłożył kocyk do torby i uświadomił sobie, że w środku jeszcze coś jest. Sięgnął głębiej i wyjął granatowy szalik z doczepioną do niego karteczką. „Dla Stevena. Dziękuję za wszystko”.

Tak jakby naprawdę był dla niej dobry, okazał jej serce. Jakby na początku nie potraktował jej jak intruza.

- Szalik - wymamrotał do siebie. - Miastowa trzpiotka. Komu na Florydzie potrzebny jest ciepły szalik?

Wciąż miał przed sobą jej śliczne niebieskie oczy. Wyobrażał sobie sytuacje, w których ten szalik byłby przydatny. Gdyby na Boże Narodzenie zabrał Jackie do Vermontu, chodziliby po śniegu, rzucali w siebie śnieżkami... Potem wygrzewaliby się przed kominkiem, objęci, zakochani, a za oknem sypałby śnieg, otulając całą ziemię białym puchem.

Mógłby tak marzyć bez końca... Lecz musi zapomnieć o marzeniach, przestać żyć ułudą. Musi wrócić do normalnego życia, skoncentrować się na potrzebach Suzy i na pracy.

Schował szalik do torby, odłożył ją na komodę i wyszedł z pokoju.

W ciągu kilku dni udało się jej wyprowadzić firmę na prostą. Kosztowało to Jackie wiele pracy, a przede wszystkim gimnastyki umysłowej, lecz najgorsze zagrożenie minęło, przynajmniej na razie. Termin aukcji był nadal aktu-

alny, a Pollock wciąż wisiał na ścianie. Z tym jakoś poszło lecz cała reszta rysowała się w czarnych barwach.

- Dzięki Bogu, że wróciłaś! - z ulgą powitała ją Parris.

Jackie powinna odetchnąć, odprężyć się, bo wreszcie była u siebie, jednak nie umiała wykrzesać z siebie ani odrobiny radości. Była dziwnie wyciszona, nic jej nie cieszyło. Z Parris nie rozmawiała o swoich problemach, nie dzieliła się z nią rozterkami. Nigdy nie były zżyte i to się nie zmieniło. Teraz też ledwie zamieniały z sobą zdawkowe uwagi.

Jackie, jak się miewasz? Wyglądasz na zmęczoną - zagadnęła ją zaniepokojona Ruthie Fernandez, pracownica ośrodka.

Zaprzyjaźniła się z Jackie, może również dlatego że obie niechętnie opowiadały o swoich prywatnych sprawach. Postawiła przed przyjaciółką herbatę.

Dzięki. Nie, nic mi nie... - Jackie urwała, przymknęła oczy. - Boże, czuję się okropnie... Zrobiłam coś straszne go - wyszeptwała.

Zaskoczona tym wyznaniem Ruthie powiedziała spontanicznie:

Nie wierzę. Ty miałabyś zrobić coś straszne go? Nie jesteś do tego zdolna.

Niestety, tak się stało. Przez ostatnie dni byłam...

Pojechałaś zobaczyć swoją córeczkę.

Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. „Swoją córeczkę”... Wreszcie opanowała się.

Suzy została poczęta z mojej komórki jajowej, lecz nie jest moją córką. Kiedy jej ojciec przyjechał tu i nalegał bym rzekła się wszelkich rodzicielskich roszczeń... posunęłam się do szantażu. Wymogłam na nim, by pozwolił mi pobyc z nią przez jakiś czas.

Jackie, na twoim miejscu każda normalna kobieta tak

by postąpiła - powiedziała miękko Ruthie. - Nie zrobiłaś nic złego.

- No i zakochałam się w nim, choć z góry zastrzegł, że nie zamierza z nikim się wiązać - z jękiem dokończyła Jackie.

Ruthie podeszła bliżej, pogładziła ją po głowie.

A ten twój kowboj... czy też cię kocha?

Przecież powiedział...

- Wiem, co powiedział, lecz ja pytam, co on czuje.

Jackie zagryzła wargi.

Co on czuje...? Podobam mu się fizycznie, ale to nie jest miłość. A ja... ja się boję.

Bo czujesz i jedno, i drugie?

Tak. Mój Boże, wreszcie znalazłam to, czego całe życie szukałam, ale okazało się dla mnie nieosiągalne!

Powinnaś powiedzieć mu, co do niego czujesz. Pojeźdź do niego, zobacz się z nim i z malutką. Zrób coś, walczy, bo inaczej pozostanie ci tylko ból i smutek.

Nie mogę do niego pojechać. Prawda jest taka, że w ogóle nie powinnam go o to prosić, nie powinnam tak strasznie nalegać. Nie miałam żadnego prawa do kontaktów z Suzy, do komplikowania im życia. Tak jak nie powinnam ciebie obciążać swoimi problemami.

Po to ma się przyjaciół - powiedziała cicho.

W jej oczach było więcej smutku niż zwykle, spostrzegła Jackie, jednak Ruthie nie podzieliła się z nią swoimi kłopotami.

- Muszę zająć się robotą - powiedziała do siebie Jackie, gdy Ruthie już odeszła. - Zapomnieć o Stevenie i Suzy, ni komu o nich nie opowiadać, nie poruszać wciąż od nowa tej sprawy.

Z takim postanowieniem zabrała się do pracy. Po jakimś czasie zjawiała się u niej Merry, która przy lada okazji zarzucała ją dociekliwymi pytaniami, aż skończyło się tym, że Jackie zaczęła jej unikać. Teraz też marzyła tylko o tym, by już sobie poszła.

- Nie mówiłaś mi jeszcze, jak udał ci się wyjazd - zagadnęła Merry. - Jak tam twój przystojny kowboj?

Jackie wymownie spojrzała na papiery rozłożone na biurku.

-Przepraszam cię, Merry, ale gdy tylko wróciłam, zaczęłam nadrabiać okropne zaległości w pracy, dlatego nie miałam czasu porozmawiać z tobą.

No i jak ta malutka? Bo on ma córeczkę, prawda? Jackie z westchnieniem podniosła wzrok.

Tak, ma córeczkę. Czemu pytasz?

Z ciekawości. Kobiety uwielbiają mężczyzn samotnie wychowujących dzieci. Domyślam się, że uganiają się za nim tabunami, próbują zwrócić na siebie jego uwagę.

Nic o tym nie wiem. - Było to oczywiste kłamstwo, o czym świadczyło choćby zdarzenie w dziecięcym klubie.

Hm... - Merry zamyśliła się na chwilę. - Był już w naszym ośrodku, może kiedyś znów do nas przyjedzie, tym razem w podróży poślubnej. Mamy tu cudowną, romantyczną atmosferę.

Jackie kurczowo zacisnęła palce na długopisie. Starła się oddychać powoli i głęboko, by nie pokazać po sobie targających nią uczuć. Wiedziała, że łatwo nie pozbędzie się Merry, że musi zaspokoić jej ciekawość.

Tak, La Torchere jest cudownym miejscem - wydusiła.

Jackie? - Merry nagle się zaniepokoiła. - Dobrze się;



czujesz? Boże, czyżbym powiedziała coś nie tak? Naprawdę nie chciałam psuć ci nastroju...

- Nic mi nie jest, Merry. Dzięki... - Nie miała siły, by zdobyć się na uśmiech.

Merry zdenerwowała się jeszcze bardziej. Chciała coś powiedzieć, lecz rozmyśliła się. Wreszcie, załamując ręce, ruszyła do drzwi.

Wpadnę do ciebie później - obiecała już w progu.

Później - powtórzyła Jackie, ale nie chciała zastanawiać się nad tym, co wtedy będzie. Póki pracowała, miała zajęte myśli, mogła oderwać się od wspomnienia Suzy i Stevena. Najgorzej było wieczorem. Steven prześladował ją po nocach. Gdy kończył się kolejny piękny sen, budziła się z dojmującym poczuciem pustki i żalu.

Wciąż powtarzała sobie, że musi o nim zapomnieć, wybić go sobie z głowy. Stopniowo, dzień po dniu, noc po noc: cy. By wreszcie w ogóle przestać o nim myśleć.

Tego musi się trzymać.

Merry zrywała się na siebie za tę rozmowę z Jackie, jednak skoro chciała dowiedzieć się prawdy, nie miała innego wyjścia. Teraz już wszystko było dla niej jasne: Jackie była po uszy zakochana w Stevenie.

Teraz istotne było to, czy Steven podziela jej uczucia. Mogłaby go tu ściągnąć i sprytnie wybadać - lecz jeśli Jackie jest mu obojętna... Obie strony tylko by na tym ucierpiały, a tego nie chciała, przecież już jedna próba skończyła się katastrofą. Jednak nie mogła zostawić spraw własnemu losowi, musiała działać.

Popatrzyła na ekranik komórki. Steven jechał konno, pewnie do pracy. Wyglądał całkiem nieźle.

Jednak gdy przyjrzała mu się lepiej, zmieniła zdanie. Był wymizerowany, miał zwieszony ramiona, w ciemnych oczach malowała się pustka. Chociaż nie, to nie była pustka. To rozpacz.

- Oby to była miłość do Jackie - wyszeptała Merry, zamykając komórkę. - Obym tym razem się nie pomyliła i nie wyrządziła komuś krzywdy.

Weszła do gabinetu, przykazując sekretarce, by nikt jej nie przeszkadzał. Musi w spokoju opracować plan.

Powinna sprawić, by znowu znaleźli się obok siebie, w tym samym pomieszczeniu. Problem w tym, że dotąd z jej planów nic dobrego nie wyszło, a ona jest coraz bardziej zdesperowana....

Suzy jest chora?! - Serce podeszło Jackie do gardła, zabiło jak oszalałe.

Ja... nie znam szczegółów - powiedziała niepewnie Merry. - Odebrałam telefon. Z jakiegoś powodu nie dało się przełączyć do ciebie. Twój kowboj, Steven, powiedział, że to pilna sprawa. Mówił, że mała jest chora i prosił, bym powiadomiła cię o tym...

Jackie jak szalona zerwała się z miejsca. Krew dudniła jej w żyłach. Suzy, jej mała dziewczynka, jest aż tak chora, że Steven zadzwonił, by ją o tym poinformować? Nie mogło to być jakieś przeziębienie, tylko coś bardzo...

Drżącą dłonią wybrała numer.

- Oby tylko był w domu - wyszeptała. - Proszę, odbierz. Telefon odebrała Charlotte.

- Czy Steven jest w domu? Tu Jackie. Muszę z nim koniecznie porozmawiać. Proszę.

Jackie?

Tak. - Ledwie wydobywała z siebie głos. Miała nerwy napięte do granic, strach ją paraliżował.

Poczekaj - powiedziała. - Zaraz go daję.

Jackie? - usłyszała po chwili głos Stevena. Brzmiał bosko.

Tylko że teraz nie miała czasu się nad tym rozwoździć. Najważniejsza była Suzy.

Jak ona się czuje? - zapytała od razu. - Czy wszystko będzie dobrze? Wyzdrowieje?

Kto? Jackie, kochanie...

To czule słowo poruszyło ją do głębi. Przez moment nie mogła nabrać powietrza, nie mogła myśleć.

Merry powiedziała, że dzwoniłeś, bo Suzy zachorowała. Dowiedziałam się o tym przed chwilą i od razu dzwonię. Strasznie się o nią martwię. Steven, co z nią jest? Czy to naprawdę coś poważnego? Dasz sobie radę? Nie mogę sobie darować, że jestem tak daleko, nie mogę ci pomóc.

Chora? Suzy? Jackie, skarbie... - Jego głęboki głos uspokajał jej napięte nerwy. - Suzy czuje się świetnie. Nic jej nie dolega. Nie mam pojęcia, czemu Merry przekazała ci takie informacje. Nie dzwoniłem do niej. Ostatni raz rozmawiałem z nią, gdy zabierałem cię z ośrodka na ranczo.

Nie dzwoniłeś do niej? - Poczwała, że robi się jej gorąco.

Steven pomyśli, że posłużyła się pretekstem, że to taka żalonna gierka z jej strony w stylu tych mamusiek z klubu.

Ja... przepraszam, że zadzwoniłam. Strasznie mi przykro, że tak wyszło... Nie mam pojęcia, czemu Merry przekazała mi takie informacje. Czuję się jak ostatnia idiotka.

Jeszcze raz przepraszam. Zapomnij, że dzwoniłam. Do widzenia, Steven.

Szybko odsunęła od siebie słuchawkę. Przez mgnienie wydawało się jej, że słyszy wołanie Stevena. Odłożyła słuchawkę, jakby ją paliła.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Boże, o co w tym wszystkim chodzi? - wyszeptwała. -

Co on sobie teraz o mnie pomyśli?

Wciąż miała w uszach jego głęboki, cudowny głos. Zamknęła oczy, rozkoszując się tym brzmieniem, pozwalając sobie na drobną, ulotną chwilę szczęścia.

Dlaczego Merry przekazała jej fałszywą wiadomość? Co się za tym kryło? Potrząsnęła głową. Zbłądziła się, ale przynajmniej znów usłyszała jego głos. Może jednak powinna podziękować Merry?

Boże, co się z nią dzieje? Rozpaczliwie szuka najmniejszej okazji, upaja się szczęściem, bo przez chwilę znowu z nim rozmawiała. Jęknęła, objęła się ramionami. Jak długo będzie w takim stanie? Kiedy się wreszcie otrząśnie? I co popchnęło Merry do takiego pomysłu?

Miała nieprzyjemne wrażenie, że chyba domyśla się jej motywów. Oby tylko Steven nie zaczął podejrzewać, że ktoś próbował ich swatać.

Wpatrywał się w milczącą słuchawkę. Jackie się rozłączyła. Najpierw ten jej dziwny telefon, zaraz potem cisza... Gdyby mógł być teraz przy Jackie.

Jego życie przestanie mieć sens, jeśli jeszcze jej nie usłyszy, nie ujrzy jej obok siebie.

- Dlaczego myślała, że Suzy zachorowała? - spytała zdumiona Charlotte.

Nie mam pojęcia. Podobno Merry, kierowniczką ośrodka, przekazała jej taką informację. Nic z tego nie rozumiem. Zna pan tę Merry? - spytała zamyślona Charlotte.

Tak. Gdy pojechałem do ośrodka spotkać się z Jackie, Merry ulokowała nas w zacisznej altance na plaży, wśród palm. - Przypomniał sobie wiszący tam podwójny hamak. Ile by dał, by znaleźć się tam teraz z Jackie!

W odludnej altance na plaży?

Tak, mieliśmy w spokoju porozmawiać o interesach.

Dziwne miejsce na takie rozmowy.

To fakt, ale bardzo przyjemne..- Z jaką radością porozmawiałby z Jackie o czymkolwiek...

Czyli Jackie jest w ośrodku i zamartwia się o dziecko. A mała jest...

Rozkapryszona.

Za to pan jest...

Nieszczęśliwy.

Co za kłamczucha z tej Merry - podsumowała Charlotte.

Oczy się jej śmiały.

Niemożliwa kobieta. Chyba wybiorę się do La Torchere i powiem jej do słuchu. Niech pani spakuje trochę rzeczy dla siebie i dla Suzy. Być może nie obejdę się bez pani pomocy.

W rozprawieniu się z Merry?

Niekoniecznie. - Nie wdawał się w dalsze wyjaśnienia, a Charlotte o nic już nie spytała.

Nerwowo krążył po altance. Poglądził krawat z czerwonego jedwabiu. Czemu tak długo jej nie ma? Naraz usłyszał zbliżające się głosy.

Merry, na przyszłość przysyłaj klientów do mojego biura.

Nie podobają ci się nasze altanki?

Owszem, bardzo mi się podobają, tylko że są nieco zbyt...

Jackie musiała być już bardzo blisko. Steven wychylił się, złapał ją za rękę i wciągnął do środka.

Głośno wypuściła powietrze, oczy błysnęły jej niepojętą radością.

Są zbyt romantyczne jak na rozmowy biznesowe - dokończył, nie odrywając wzroku od jej ślicznych niebieskich oczu.

Steven!

Tak, to ja.

Jackie pokręciła głową.

- Nic nie rozumiem. Miałam... - Naraz w jej oczach pojawił się niepokój. - Z Suzy jest niedobrze, tak? Nie powiedziałeś tego przez telefon, żeby mnie nie przestraszyć.

Suzy nic nie jest! Tylko strasznie za tobą tęskni. Jackie opuściła powieki.

Tylko mi tak mówisz.

- Nie. - Postąpił krok w jej stronę. - Wciąż tuli do siebie miśki, a to wyraźny znak, że czuje się niepewnie. Poza tym nie umiem tak opowiadać bajek jak ty. Jesteś jej potrzebna, Jackie. Suzy potrzebuje... swojej mamy. - Miał nadzieję, że te słowa wywołają uśmiech na jej twarzy, lecz pomylił się. W oczach Jackie błysnęły łzy. Serce mu się ścisnęło.

- Nie płacz, proszę - powiedział cicho. - Taka jest prawda. Przyjechałem również dlatego, by ci powiedzieć, że ten dokument, w którym zrzekasz się roszczeń do Suzy, już nie istnieje. Podarłem go, sprawa skończona. Suzy jest twoim

dzieckiem. Chcę, byś była przy niej, by zawsze mogła na ciebie liczyć. - Poglądził ją po policzku.

Suzy ma Charlotte.

Ale najbardziej ciebie potrzebuje.

Steven - cicho powiedziała Jackie. - Jesteś dobrym człowiekiem i wspomniałbym ojcem.

Nie jestem. - Pokręcił głową. - Bo powinienem był zacząć od czegoś zupełnie innego. Chcę, byś wiedziała, że niezależnie od wszystkiego, Suzy jest twoją córką. Michelle wydała ją na świat, ale to dzięki tobie istnieje. Wiem, że ją kochasz. Nigdy nie stanę ci na drodze, z mojej strony nie będzie żadnych przeszkód, żadnych ograniczeń.

Na pewno tego chcesz? - Głos jej drżał.

Na pewno. Mam absolutną pewność.

To największy dar, jaki kiedykolwiek ktoś mi ofiarował.

Przysięgam, że będę cenić każdą chwilę spędzoną z Suzy. I nigdy nie zrobię jej krzywdy.

To jest poza wszelką dyskusją. Ufam ci równie mocno jak sobie. - Podszedł bliżej. - Ale nie po to przyjechałem. Mogłem przekazać ci to przez prawnika albo zadzwonić. Przyjechałem z innego powodu.

Jakiego? - Patrzyła na niego niepewnie.

Chciałem cię o coś zapytać. - Zawahał się, po chwili delikatnie przesunął dłonią po jej policzku. - Popatrz mi w oczy, proszę. Chciałbym widzieć twoją reakcję.

Pytaj, o co chcesz - wyszeptwała, nie odrywając od niego wzroku

Chciałby zapytać, czy istnieje szansa... byś pokochała ranczera? - Gdy przez jej twarz przebiegł dziwny grymas, ogarnął go lęk. - Jackie? - powtórzył zmienionym głosem.

Spojrzała na niego lśnącymi oczami.

Ten ranczer... on wie, że nie mam pojęcia o życiu na ranczu. Tak bardzo źle się tam czujesz? - Z napięciem liczył uciekające sekundy.

Jackie pokręciła głową.

Przeciwnie, uwielbiam takie życie. Gdy byłam u ciebie, po raz pierwszy miałam wrażenie, że wreszcie znalazłam moje miejsce, że chciałabym tam już na zawsze zostać. Wiem jednak, że nie byłoby ze mnie żadnego pożytku. Gdybym się tam wychowała, gdybym miała pojęcie...

Miastowa panienka - przerwał jej łagodnie. - Pomogłaś mi bardziej niż ktokolwiek. Dzięki tobie otworzyły mi się oczy, przywróciłaś mnie do życia. Znowu zacząłem marzyć, lecz... Lecz co? - zapytała łamiącym się głosem.

Lecz nie odpowiedziałaś na moje pytanie, czy mogłabyś pokochać ranczera. Nie przejmuj się tym. Nie musisz mnie kochać. To nie jest konieczne.

Spontanicznie przywarła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go żarliwie i zaraz cofnęła się ogromnie zmieszana.

- Jesteś wspaniałym ranczerem. Jak mogłabym cię nie pokochać? Tylko jak ty mógłbyś pokochać dziewczynę, która boi się konia?

Steven zaśmiał się cicho.

- Ciebie nie można nie kochać. Zrozumiałem to, gdy już było za późno. Staralem się nie ulec, lecz nic z tego. Ujęłaś mnie, oczarowałaś. Oddałem ci serce. Nie przejmuj się końmi. Z czasem może przełamiesz lęk, a jeśli nie, to co za problem, skoro zawsze będę cię kochać. Zawsze będziesz mieć mnie i nasze dziecko.



Nasze dziecko... Dzięki, Steven.

To nie moja zasługa. Suzy jest twoja od pierwszej chwili, gdy tylko się do niej uśmiechnęłaś. Czeka na ciebie, jest tutaj z Charlotte. Zaraz do nich pójdziemy, ale najpierw muszę jeszcze coś zrobić.

Przyciągnął ją do siebie, objął i pocałował gorąco. Marzył o tej chwili, o tym pocałunku. Potem popatrzył w zamglone oczy Jackie, na jej różowe usta.

- Och, czy na ranczu wszyscy tak całują? - wyszeptwała.

Roześmiał się.

Mam nadzieję, że nie będziesz miała okazji się o tym przekonać. To ty tak działasz, że wprost wariuję na twoim punkcie. To dobrze, bo wynika z tego, że zwariowaliśmy oboje. To dlatego chodziłam na dalekie spacerunki, by się do ciebie nie zbliżać.

A ja wtedy nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Każda minuta bez ciebie była cierpieniem.

Wiem po sobie, jak to jest. - Uśmiechnęła się. - Znalazłam wtedy sporo miejsc, gdzie można się zaszyć we dwoje.

Już nie mogę się doczekać, kiedy mi je pokażesz. Jedźmy na nasze ranczo.

Nasze ranczo? - Zamrugwała gwałtownie.

Och, zapomniałem cię spytać. Jackie, najdroższa, czy wyjdiesz za mnie?

Tak... Tak! Zawszę będę kochać ciebie i naszą córeczkę. Już bym chciała być z tobą w domu, marzę o tym.

Porwał ją na ręce, zakręcił się wokół.

- Ach, ta Merry i jej knowania! To dzięki niej uświadomiłem sobie, jak wiele dla mnie znaczysz, jak bardzo cię

kocham. Chodź do mnie, moja miastowa panienko. - Otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie. - Muszę cię pocałować, najdroższa.

Wtuliła się w jego ramiona.

- Jestem twoja, Steven...

Objął ją mocno i odszukał jej usta.

RS

## EPILOG

Denerwuję się - nazajutrz powiedziała Merry  
Czym? - spytała Lissa.

Bo nie wiem, czy z tego swatania coś wyjdzie. Czy to będzie mi się liczyć. Bo czego bym nie zrobiła, prawie zawsze wychodzi nie tak.

Ale ostateczny rezultat jest dobry - pocieszyła ją Lissa. - Steven i Jackie są razem, wyglądają na szczęśliwych. Możesz sobie pogratulować. Zobacz, idą tu.

Merry zerknęła w kierunku plaży. Jackie i Steven szli boso po piasku, Suzy, niesiona przez tatę, uśmiechała się radośnie.

- Chyba są szczęśliwi? - Merry odprowadzała ich wzrokiem.

- Dla mnie to nie jest aż tak ważne, zależy mi tylko, by zaliczono mi tę parę. - Jednak nadal obserwowała ich z uśmiechem.

W tej samej chwili Jackie odwróciła się i pomachała.

- Dzięki, Merry! - zawołała.

Merry zamrugała, jakby chciała spędzić łzę wzruszenia. W tej samej chwili podeszły do niej Ruthie i Parris.

- Jak myślisz, dlaczego postanowiła nas wyswatać? - zagadnęła Stevena Jackie.

Może chciała, byśmy byli szczęśliwi.

Nawet nie wiesz, jak bardzo dzięki tobie jestem szczęśliwa. -

Uśmiechnęła się. - To chyba jakieś czary.

- Ejże, wierzysz w takie rzeczy?

Leciutko trzepnęła go po ramieniu.

- Naśmiewasz się ze mnie? Chcesz powiedzieć, że nie wierzysz w czary?

Steven zatrzymał się, popatrzył na Jackie.

Już dawno przestałem w nie wierzyć i wiem, że to, co dzieje się teraz, dzieje się naprawdę. - Musnął jej usta i ruszyli dalej. - Dzięki tobie.

I dzięki tobie - szepnęła. - Moje marzenia stały się rzeczywistością. Czy nie tak kończą się bajki?

Niezupełnie.

Nie? - zdziwiła się.

W bajkach ludzie tylko się całują, a potem się pobierają i żyją długo i szczęśliwie. A ja wciąż tylko myślę o tym, by cię dotykać...

Jackie pochyliła się ku niemu.

Wiesz... to mnie zachwyci i... przeraża. Bo zawsze uważałam siebie za brzydkie kaczątko.

Niemożliwe! Nie wierzę. Jesteś łabędziem, skarbie. Pięknym, cudownym łabędziem.

Bo znalazłam ciebie. Mężczyznę i dziecko, których nigdy nie przestanę kochać.

Gdy się pobierzemy, będziesz chciała mieć więcej dzieci? - zapytał, zatrzymując się i patrząc na nią badawczo.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

Tak, chciałabym mieć więcej dzieci... Tylko tym razem niech poczną się w tradycyjny sposób.

Cudownie! - wyszeptał jej do ucha. - Może porozma-

wiamy o tym na osobności? Nasza słodka Suzy już chyba chce iść spać.

Wcale nie wygląda na senną - zaproponowała Jackie. - Nie bądźmy egoistami, inni też chcieliby z nią trochę pobycć. - Wzięła Suzy na ręce, uścisnęła ją i pocałowała. - Chodź, kotku. Pójdziemy pokazać cię ciociom, które tylko czekają, żeby się z tobą pobawić.

Ja? - zapytała Suzy.

Tak, aniołku. - Jackie pogładziła ją po główce. - Te ciocie wiele o tobie słyszały, pora je poznać. Pobawisz się z nimi troszkę, dobrze, skarbie? Ja i tatuś musimy o czymś porozmawiać.

Podeszli do zajętych rozmową pań.

Merry, mogłabyś przez kilka minut popilnować Suzy? Charlotte akurat bierze kąpiel. - Jackie podała Merry dziewczynkę.

Hm, ja... - Merry szeroko otworzyła oczy, lecz wzięła od niej dziecko. Ruthie, Parris i Lissa pochylili się nad małą.

Jackie zerknęła na siostrę. Wymieniły spojrzenia. Nie miały więcej rodzeństwa. Teraz pojawiła się Suzy i może ona stanie się łącznikiem między nimi.

Nic się nie martwcie, zajmujemy się nią - zapewniła Ruthie. - Nie spuścimy jej z oka.

Tak, tak - poparła ją Merry. - Idźcie już, odetchnijcie trochę. I zaplanujcie coś.

Dziękujemy. - Steven skinął głową, potem odwrócił się do Jackie. - Chodźmy, kochanie, już czas.

Już czas? - Z uśmiechem wzięła go za rękę.

- Tak. Czas zaplanować naszą szczęśliwą przyszłość.

Jackie przytuliła się do niego, pocałowała.

Nie mogę się doczekać. Uwielbiam szczęśliwe zakończenia.  
Wiesz, takie: „A potem żyli długo i szczęśliwie”.

No to zacznijmy naszą opowieść. Za siedmioma górami, za siedmioma lasami żyła kobieta o złotym sercu i rozważny kowboj...

Jackie roześmiała się.

Czy już ci mówiłam, że kocham takich kowbojów?

A ja kocham ciebie, miastowa panienko. - Wziął ją w ramiona i bajka potoczyła się dalej...

RS